

# Najwyższa wiedźma

Gromyko Olga

Książka III z Wiedźma



calibre 0.9.43

**Olga Gromyko**

**Najwyższa Wiedźma**

*Wiedźma -3*

# Adnotacja

*Co jest potrzebne do szczęścia Najwyższej Wiedźmie*

*najzwyklejszej doliny, zamieszkaney przez same najzwyklejsze*

*wampiry? Ulubiona praca? Szybka kariera? Stopień arcymaga? Lub ...*

*Przyjaciele nie są w stanie udzielić poprawnej odpowiedzi (mimo*

*szczerych chęci), a wrogowie czekają tylko na to aby udzielać rad.*

*I tak, czarna kobyłka została osiodłana, czarodziejski miecz*

*naostrzony - i Wolha Redna znowu udaje się psuć nastroje stworom, a*

*tym samym konkurentom, rycerzom a nawet świętym.*

Czarna kobyłka z podejrzanie niewinnym wyglądem stojąc przy ganku,

leniwie machała wspaniałym ogonem. Za wcześnie ją osiodłali i

przyprawdzili; prawdopodobnie jednak spóźnili się ze spętaniem. Znam tego

uparciucha — minuty nie postoi na jednym miejscu, zdążyła już gdzieś

pobiegać i wrócić. Tylko, tylko co się rozwidniło, dolina jeszcze śpi, otulona

kołderką mgły, nie po wiosennemu gęstej i zimnej. Jeżeli kobyłka gdzieś weszła

w szkodę, prędzej czy później wyjdzie to na jaw, tak więc trzeba będzie za nią

ponieść karę – właścicielka konia energicznie potrząsa głową, odrzuciwszy

włosy na ramiona i przymierza się do strzemienia.

— Nie wyjeżdżaj.

Ona opuszcza podniesioną wcześniej nogę, obraca się. Z wyrzutem, a

zarazem ze zrozumieniem patrzy na niego. Oko w oko, nie próbując ukryć się

za rzęsami albo postronnymi myślami. Mało kto ośmiela się tak robić. Wiatr

roziewa jej długie, złocisto-rude włosy — jedyna jasna plama pośrodku tego

szarego, chłodnego ranka.

— Dlaczego?

— Mam złe przeczucia.

—

Przestań! — Ona beztrąsko się uśmiecha poklepując konia po kłębie. — Dawno wszystko omówiliśmy. Muszę zebrać praktyczny materiał do swojej obrony i otrzymać tytuł mistrza trzeciego stopnia, dla takiego odpowiedzialnego stanowiska to po prostu niezbędne. Przecież jestem Twoją Najwyższą Wiedźmą, zapomniałeś?

— Nie, jak i tego, że ty jeszcze jesteś moją narzeczoną - zażartował ponuro.

— Wrócę, przecież wiesz.

On delikatnie przeciąga koniuszkami palców od jej skroni do podbródka, w tym samym czasie zakładając za ucho wymykający się kosmyk. Ona żartobliwie wykręca się, maca strzemień i wskakuje na siodło.

— Wiem.

Czarny koń ochoczo rusza z miejsca. Nadzwyczaj ochoczo, to oznacza, czekaj prędko nieproszonych gości, na wskroś niezadowolonych z nieoczekiwanych wizyt czarnego konia w ich tylko co zasianym ogrodzie, w sadzie, a także i na strychu z nieostrożnie przystawioną do niego drabiną... Jeżeli jej odpowie, zrobi krok do przodu lub opuści głowę, pokazując, jak ciężko mu na sercu, ona tutaj wróci.

On wie i to, ale milczy.

**CZEŚĆ PIERWSZA**

**Życie św Fendjulina**

*Jaki dajń, taka świątynia*

## ***Starożytne belorskie przysłowie***

Wiosną nawet szumiący bór, pełen jest dzikiej zwierzyny i upiorów, język boi się nazwać go ciemnym i złowieszczym. Mroczne skrzywienie omszałych pni utonęło w ptasim trelu, a ziemia — w kwitnących przesiekach, nadających staremu lasowi niespotykane radosny, czarujący i tajemniczy wygląd. Tylko czekać, aż za tej sterty wiatrołomu pojawi się teraz przepiękna driada wierzchem na śnieżnobiałym jednorożcu (można i pojedynczo) lub dobra czarownica omdlała na słoneczku i dlatego gotowa bezinteresownie uszczęśliwić pierwszego napotkanego spełnieniem trzech jego skrytych marzeń (choćby jednego, jedniusińskiego).

Ostatecznie, w najgorszym razie ujdzie i zła wiedźma na czarnej kobyle.

— I tak, Smółka, co my posiadamy?

Kobyłka stuliła uszy i nieokreślenie podzwoniła uzdą. W tym momencie jej właścicielka odznaczała się rzadko spotykaną złośliwością – parę minut temu na przekór wszystkiemu odwaliła się podeszwa, od wydawało by się całkiem nowego buta. Strzemię nieprzyjemnie chłodziło bosą nogę.

Popuściwszy cugle, kręciła w rękach felerny but, rozmyślając, czy plunąć na wszystko i podkleić go z pomocą magii czy wrócić do wioski i natłuc nieuczciwego szewca ze zgniłą dratwą. Wracać czy nie, — w sumie daleko, nie chciało się. Trzech kładni także było szkoda, a zaklęcie trzeba będzie powtarzać codziennie. Dobrze, pojedę do tego chałturszczyka później, w drodze powrotnej. Pamiętam doskonale, jak z przekonaniem zapewniał „jak nic sto lat w nich wychodzisz!”. W każdym bądź razie do końca okresu gwarancyjnego

jeszcze daleko.

Ze wstrętem poszeptałam na but i wcisnęłam go na nogę. Niby trzymał się i był wygodniejszy, w nosku nie cisnął. Troszeczkę był lepszy, na koniec pozwoliłam sobie rozejrzeć się ma wszystkie strony, no i pozachwycać się odżywającą przyrodą, ale było już za późno — las skończył się, a trawa na skraju tylko, tylko co zaczęła rosnać, z rzadka wyglądając spod zeszłorocznych kępek.

— Czy my mamy coś, — powiedziałam w zamyśleniu, nie doczekawszy się odpowiedzi od kobyłki.

Pięć kroków od brzegu, na wprost stojącej na uboczu brzozy, był przybity roztrzaskany drogowskaz z odłamanym czubkiem. Tak i nie udało mi się z sensem zrozumieć na wpół startych deszczami i czasem run – czy to „Malinniki”, czy to „Małe Lipki”. Ani malin, ani lipek po drodze nie zauważyłam i na mapie niczego ciekawego nie ustaliłam. Dziwne, czyżby moja mapa była starsza od tego drogowskazu. Trzeba będzie popytać kogoś z miejscowych, gdzie to mnie zaniósł. Wczoraj wieczorem, dla urozmaicenia zaufałam nieznannej drodze, logicznie rozumując, że w szczerym polu ona chyba się nie skończy, a praca dla wiedźmy znajdzie się wszędzie. No, lub prawie wszędzie.

Pod pierwszą deską wisiała druga, nowiuteńka, z ozdobnym napisem:

„Czarować, wróżyć i tworzyć inne diabelskie rzemiosło zabrania się pod groźbą kary śmierci”

— Nie wolno tego i chciałoby się, — półgłosem zawarczałam.

Prawdopodobnie, gdzieś w pobliżu znajduje się duża świątynia, a takim to

prostym sposobem odstraszać konkurentów.

Dzieje się tak pomimo dekretu królewskiego, zrównującego w prawach magię i religię. Niestety, tylko na papierze. Jeśli w stolicy i miastach magowie z świętoszkowatymi uśmieszkami wymieniali ukłony z dajnamy (duchownymi), to w bardziej odległych miejscach władza Magów wyraźnie osłabła, przechodząc w ręce duchowieństwa. Nic dziwnego – przecież duchownym mógł zostać prawie każdy, a stanowisko to lekkie i popłatne, tych co pragnęli nimi zostać starczało na wszystkie wsie, nawet te najgłuchsze. Zaś magiczne zdolności ujawniały się daleko i nie u każdego, a jedyna na całą Belorię Szkoła Magii, Pytii i Zielarek znajdowała się w stolicy, gdzie i zostawała pracować większa część absolwentów.

Pieniądzy jeszcze mi starczało, ale z doświadczenia wiedziałam: warto przejechać dwie, trzy niegościnne wsie – to w czwartej czarownicy okazało bardzo ciepłe powitanie, przy czym potajemnie zbiegną się tutaj mieszkańcy z trzech poprzednich. Magii można zakazać, ale zaklinania modlitwami nie zastąpisz, a słowa „niezbadane są wyroki boskie” służą jako słaba pociecha dla młodego wdowca, którego żona spodobała się upiorowi lub zmarła od połogowej gorączki.

Rozejrzałam się unosząc się w strzemionach. Tak, oto i Małe Lipki — dość duża wieś, nawet z targowym placem, w danym momencie pustym. Świątyni jak na razie nie widać. Bardziej na lewo, za brzozowym laskiem, nieduże jeziorko w dolince, bardziej na prawo — przecięty rzeczką nieużytek, po którym w malutkich grupkach wędrują krowy i owce, z żalem patrząc na brunatną ziemię z rzadka nakropkowaną zielenią. A dalej, za wsią, na lesistej

górcie... oho!

Zamek był ogromny. Zostawało do niego nie mniej niż pięć wiorst, a kopułki wszystkich ośmiu wież dumnie wznosiły się nad lasem, przyciągając spojrzenie jaskrawym murem z cegły. Na iglicach trzepotały zaostrzone jęczyczki flag. Nie chciało się wierzyć, że wszystkie baszty wzniesione są na jednej ścianie — miejsca między nimi wystarczyło by na osiem zamków, — ale komu przyszło by do głowy stawiać je w rzędku?

Migiem zorientowałam się, gdzie się znajduję. Nie Malinnki, a Mael-ine-kirren, po gnomimu – Kruczy Szpon, nazwa największego zamku rycerskiego w Belorii. A wieś, prawdopodobnie, nazywa się – „Rozdroże” – tu na słupie znajduje się jeszcze jeden szyld.

Podjechawszy bliżej, przekonałam się, że miałam rację. Rozdroże było jedną z tych wsi, które wzięło początek od wybudowanego na skrzyżowaniu dróg zajazdu. Jedna droga — ta, po której przyjechałam, — obecnie prawie nie używana, przeobraziła się w zwykłą wiejską uliczkę, za to druga z latami rozszerzyła się prawie do rozmiarów traktu i prowadziła w górę, do zamku. Wieśniacy patrzeli na mnie nieprzyjaźnie, nie wychodząc zza furtek, no i nie odlepiając się od nich. Wielu demonstracyjnie zegnało się i pluło przez ramię, ktoś nawet pokazał figę<sup>1</sup>, gest jakby odstraszący „złe oko” (nie pozostałam dłużna, zademonstrowawszy inny, nie mniej symboliczny palec). O tym żeby ukrywać swój zawód nawet nie pomyślałam, wręcz przeciwnie — zrzuciłam kaptur kurtki i dumnie wyprostowałam się w siodle, żeby wszyscy dobrze widzieli rozwiane na wietrze rude włosy i rękojeść wiszącego za plecami miecza. Nikt mi nie zabraniał przejeżdżać przez wieś ani reklamować



„diabelskiego rzemiosła”. Zauważyłam parę zainteresowanych spojrzeń i z zadowoleniem uśmiechnęłam się. Może by, wyjechać za obrzeża i zatrzymać się w najbliższym lasku, oczekując klientów?

W tym miejscu zauważyłam karczmę i natychmiast zmieniłam plany. Siodło, które mnie wytrzęsło podczas jazdy i czerstwe kanapki dały się we znaki mojej wątrobie — dobrze by było w niedługim czasie wrzucić coś na ruszt, a za jednym zamachem rozmasować nogi i tyłeczki.

Ni czystością, ni obfitością odwiedzających karczma pochwalić się nie mogła. Jak tylko się tu pojawiłam, wyludniła się do końca, a karczmarz, nie zainteresowawszy się o co poproszę, brzęknął przede mną talerzem napełnionym jedzeniem.

Ziemniaki okazały się przesolone, ogórki zwiotczałe, a schabowy podejrzenie przypominał moją odpadniętą podeszwę. W jakiś sposób nadziałam to kulinarne arcydzieło na widelec, zdjąć go już nie mogłam. Ukąszenia także nie zaryzykowałam, malowniczo wystawiwszy dwa rzędy zębów w sąsiedztwie z widelcem. I wydaje mi się, że z tego brzegu, ktoś już gryzł, lecz także nie zdążył. Kolejny raz stuknęłam widelcem, i kotlet niespodziewanie się poddał.

Ze złowieszczym świstem rozcinając powietrze, na niskim poziomie lotu, kotlet przemknął przez karczmę i chlapnął do wiadra z pomyjami i zatonął. Karczmarz się skrzywił — widocznie, unikalne jedzenie koczowało od stołu do stołu od samego ranka i wchodziło w menu nie tylko obiadu, ale i kolacji.

Widelec uwolnił się i zajęłam się smutnym rozmazywaniem ziemniaków po talerzu. Jeść zachciało mi się jeszcze bardziej, ale oczywiście nie na tyle, żeby zmusić się do połknięcia chociażby kawałeczka tej breji, obrażającej dobre

imię jedzenia.

Odłożywszy widelec, popatrzyłam w okno. Nie opodał karczmy ślania się na nogach jacyś chłopkowie, co i rusz spoglądając na drzwi i przerzucając się słowami. Wydaje się, że nie mieli by nic przeciwko wypiciu kufelka piwa, ale

1 ([http://en.wikipedia.org/wiki/Hand\\_gesture#Fig\\_sign](http://en.wikipedia.org/wiki/Hand_gesture#Fig_sign)

przywiązana przy drzwiach kobyłka, jedynymi w swoim rodzaju żółtymi oczami, odstraszała cierpiących na kaca, nie mówiąc już o siedzącej w karczmie wiedźmie.

Karczmarz już kilka razy przechodził obok mojego stołu, a przechodząc kolejny raz, stanął koło mnie, wymownie sapiąc nad moim uchem. Przesunęłam się na róg stołu, udawałam, że niczego nie zauważam. A w ogóle to zebrało mi się na małą drzemkę...

— Ej, szanowna Pani! — Nie wytrzymał, chłop przesunął się do przodu.

Szacunku w jego głosie to ja nie zauważyłam, tylko niezadowolenie, troszeczkę powstrzymywane strachem przed wiedźmą. — Pani zamierza się rozliczyć, czy jak?

— Zamierzam — chętnie potwierdziłam, dla jasności obracając w palcach srebrną monetkę. Karczmarz wyciągnął rękę, ale pieniędzy zniknął równie nagle, jak się pojawił. — Płacić powinno się przed samym wyjściem, nieprawdaż?

Chłop niechętnie skinął głową.

— Niech Pan będzie tak uprzejmy, idzie i zajmie się własnymi sprawami, ja nigdzie się nie śpieszę, — dobrodusznie zapewniłam, ponownie przysiadając się do stołu. — Tu jest taki miły zakład i tak smacznie karmią, że chciało by się

jak najdłużej przedłużać tą przyjemność. Powiedzmy, do wieczora. A może, i zanocować? Przecież nie ma Pan nic przeciwko, mam rację?

Karczmarz zasapał, jak smok, porywający księżniczkę, kiedy w legowisku, wyszło na jaw, że pomylił ją z dziewięćdziesięcioletnią służącą. Przy czym trudniejsze okazało się pozbycie się, mile połączanej zaproszeniem babci, niż bezczelnej wiedźmy, która przeszkadza truć bardziej uprzejmych klientów. Nie wiem, jak tam wykręcał się smok, ale przede mną, już po piętnastu minutach, stał talerz z ekskluzywną pierśią z kurczaka, w gęstym sosie, świeżuteńką, dymiącą się jeszcze.

— Mam nadzieję, że tym Pani wiedźma nasyci się szybciej — ponuro mruknął chłop.

Delikatny kurczak naprawdę rozpływał się w ustach. Chciałam delektować się, przedłużając przyjemność jeszcze przez pół godzinki, ale haniebnie przegrawszy ze zdrowym apetytem, połknęłam wszystko w ciągu kilku minut i z ubolewaniem rzuciłam w opróżniony talerz poszukiwaną monetę.

Odwiązawszy kobyłkę, z ogromnym trudem wgramoliłam na siodło swoje dobrze odżywione ciało i wyjechałam za bramę, postanawiając działać według wcześniej wytyczonego planu, nie w tym rzecz.

Okazało się, że spragnieni piwa chłopcy nie tracili na darmo czasu. Dopóki siedziałam w karczmie, oni zdążyli posłać gońca i jakby mało tego – on zdążył wrócić z posiłkami.

W moją stronę zbliżało się, patrząc na oko, co najmniej, pięć funtów żelaza – dwa funty pokrywały rycerza, jeszcze trzy – jego wiernego konia, powoli i majestatycznie stawiającego nogi. Spod długiego srebrzysto-siwego czapraka

wyglądały tylko kosmate pęciny z masywnymi kopytami. Górna część bitewnego rumaka była niezawodnie zapakowana w hełm z szczelinami dla oczu, uszu i nozdrzy, od którego do samego łęku siodła schodził kołnierz z wypolerowanych na błysk blach. Zad był przykryty rodzajem metalowego szkieletu ze stalowych pasów<sup>2</sup>, tak że jedynym nie odsłoniętym miejscem został tylko machający się nerwowo ogon.

Jeździec wyposażył się jeszcze bardziej solidnie – było go łatwiej spłaszczyć, niż zranić. Kolczaste elementy na przemian z litymi, u siodła wisiał ogromny dwuręczny miecz, ledwie nie szurając po ziemi. Wszystko to wesoło grzechotało i szczekało przy najmniejszym poruszeniu, płosząc kury i powodując wściekłe ujadanie psów.

Za rycerzem, na znak szacunku, o pół długości w tyle, na małym myszaty koniku jechał giermek – ciemnowłosy chłopak lat piętnastu ze skórą do śmiechu, jeszcze pozbawioną zarostu twarzą. Żadnej broni, oczywiście on nie niósł i nie wiózł, a ze zbroi była na nim tylko lekka kolczuga sięgająca do połowy biodra, przepasana w pasie prostym skórzanym rzemieniem. Procesję zamykały dwie dziesiątki wiejskich piesków, na próżno próbujących przeschekać pobrzękiwanie rycerskiej zbroi<sup>3</sup>.

Moją uwagę zwrócił złoty order na srebrnym łańcuchu, wygodnie leżący we wgłębieniu napierśnika. Podobnie jak u magów, najwyższych rangą rycerzy zakonu nazywano mistrzami. Zresztą, nie warto było się łudzić – rycerze byli bezgranicznie oddani świątyni i nazywali magię nie inaczej jak „ohydnym czarodziejstwem” lub „nikczemnymi czarami”. Do wiedźm odnosili się odpowiednio.

Przesunęłam się na skraj drogi ale oba konie skręciły naprzeciw mnie i zatrzymały się, jednoznacznie zagradzając drogę. Mistrz, jawnie to pokazując, zmusił swojego „ognistego” perszerona, aby stanął dęba i ociężale pomachał przednimi kopytami. O ziemię szczęknęli z takim hukiem, że ja na serio przestraszyłam się, żeby jeździec z koniem nie rozsypali się na oddzielne segmenty. Warto dodać — my ze Smółką nawet się nie poruszyliśmy,

2 [http://pl.wikipedia.org/wiki/Zbroja\\_ko%C5%84ska](http://pl.wikipedia.org/wiki/Zbroja_ko%C5%84ska)

3 <http://www.galopuje.pl/masci,myszaty,70>

spoglądając na rycerza z takim szczerym zdumieniem, że giermek wstydliwie spuścił wzrok.

— Ja łyczę łośić z łośaną łośmą! — głośno, z powtarzającym się wyciem, dochodziło spod hełmu.

Zdumienie przeszło w nie mniej szczerze oszołomienie, kobyłka nawet po psiemu obróciła głowę na bok, wsłuchując się w hulające pod zbroją echo.

— Zapewne Pan mistrz miał na względzie, że życzy mówić z wiedźmą, — z pomocą przyszedł chłopak.

— Łośaną? — uściśliłam podejrzliwie.

— Istotnie tak! — Rycerz wreszcie zorientował się w czym rzecz i odrzucił przyłbicę. — Albowiem wiedźma jest tworem ciemności, nasieniem zła i ośrodkiem mrocznej siły na tej grzesznej ziemi i dlatego inaczej niż ohydną, nazywać ją jest niedopuszczalne!

— To dla mnie bardzo pochlebne, — wymamrotałam. — I co z tego? Pan postanowił urozmaicać ponure życie tej przyzwoitej wsi modelowo-wzorcowym spaleniem mnie na stosie?

— Niestety, nie, — ze szczerym żartowaniem przyznał się mistrz. — My, to znaczy Zakonem Białego Kruka w mojej osobie, pragniemy cię wynająć.

Z jeszcze większą uwagą przyjrzałam się złotemu orderowi. Uczciwie mówiąc, ptaszek bardziej wyglądał na kurę, przy czym daleko jej było do dobrej formy. Stwarzało wrażenie, że nieszczęśnica zakończyła życie samobójstwem, powiesiwszy się na srebrnym łańcuchu, gdzie i zwisała po dziś dzień z rozpostartymi skrzydłami, wyciągniętymi łapami i nienaturalnie skrzywioną szyją.

Zasadniczy sens wypowiedzianego zdania doszedł do mnie troszeczkę później.

— Wynająć? Mnie?! Pan żartuje, czy co?

Po mrocznej fizjonomii mistrza było widać, że on także chciałby tak myśleć, ale, niestety, nie może.

— Nie chcę Pana za bardzo martwić, — zaczęłam przymilnie, — ale przy wyjeździe z lasu wisi nader wiele obiecująca tabliczka...

— Wiem, — odpowiedział rycerz. — Sam ją tam przybiłem.

— Oryginalny ma Pan sposób obwieszczania przejeżdżnym magom o wolnym wakacie, — parsknęłam śmiechem. Kobyłka zawtórowała mi analogicznym, tylko jeszcze bardziej zjadliwym i dudniącym dźwiękiem.

— A zbawcie nas bogowie od waszego diabelskiego plemienia! —

nerwowo podniósł głos mistrz. — Nam potrzebna Jedna wiedźma do wykonania Jednego zadania. Potem, choć to wbrew naszym przekonaniom, my ją uwolnimy...

Rycerz i giermek z zakłopotaniem spojrzeli na siebie nie rozumiejąc, co

mnie tak rozśmieszyło. Zgiąwszy się od chichotu, nad łękiem siodła, z trudem wykrztusiłam:

— To znaczy Pan chce powiedzieć... żeście mnie... złapali?! Oj, nie mogę...

— No, prawie złapali, — poprawił się giermek, niknąc pod ciężkim spojrzeniem dowódcy — Można tak powiedzieć, w trakcie procesu...

— Aha. — Delikatnie poklepałam się po piersi, wyganiając resztki kołaczącego tam śmiechu. — Jeżeli się nie przesłyszałam, z początku chodziło o najem, a to słowo wskazuje na opłatę za moją zawodową działalność, nieprawdaż?

— Słusznie, — jeszcze bardziej wyniośle potwierdził mistrz, — wyświadczysz nam jakąś usługę a my darujemy ci życie i wolność. Moim zdaniem, to zupełnie godna cena za twoje bogom wstrętne czyny.

— To znaczy, Pan chce rozliczyć się ze mną z odebranej ode mnie sakiewki? Nie, to nie przejdzie. Spróbuj ją najpierw odebrać.

Rycerzowi nerwowo drgnął policzek. Widocznie, do tej pory stykał się on tylko z wiejskimi znachorkami, nie zdolnymi utworzyć nawet prościutkiego pulsara. Sprawdzać, do czego zdolny jest mag praktyk z wyższym wykształceniem, bardzo mu się nie chciało. Wycofywać się, było już za późno.

Mistrz opuścił przyłbicę i z patosem uderzył ostrogami po stalowych końskich bokach. Wierny rumak, zareagował szybciej na zwykły dźwięk i z narastającą szybkością poruszył się do przodu.

— Drżnij nieczysta, albowiem w głowni mojego miecza zamknięty jest paznokieć od lewej nogi świętego Fendjuliana i jedno dotknięcie nim obróci cię w proch!

— Drzę, — uczciwie przyznałam się. — Paskudztwo jakieś, oto oczywisty

powód, dla którego nie chce mi się go dotykać.

Rycerz zaryczał z oburzeniem i rzucił się do ataku.

Mój miecz żadnych Fendjulianów nie zawierał, więc i obnażać go nie zamierzałam. Po pierwsze, uczciwy pojedynek (w moim rozumieniu) odbywał się przy użyciu najbardziej odpowiadającej każdemu z przeciwników broni, zaliczyć do takiej mojego miecza, niestety, nie mogłam. A po drugie, z pochwy sterczała w sumie tylko zbyteczna rękojeść z odłamanym kawałkiem klingi, dla której w żaden sposób nie mogłam znaleźć zastępstwa. Przez półtora roku pracy na traktach zmieniałam, w większej mierze, z tuzin mieczów ze wszystkich możliwych — od gnomich po elfie. Złowredne klingi kategorycznie odmawiały ze mną współpracy: gubiły się, łamały, wyginały albo topiły się w trującej krwi stworzeń; były kradzione, przypadkowo plątały się po zajazdach, pożyczano je i zapomniano zwrócić, a także zabierano z sobą do grobu, mnie pozostało jedynie „niepocieszenie” zgrzytać zębami i znowu rozwiązywać sakiewkę.

Tak więc najzwyczajniej w świecie pstryknęłam palcami, i rycerz z

Fendjulianem przemknął obok, bez żadnego skutku machnął mieczem nad moją głową. Odwrócić wzrok człowiekowi — najprostszy trik, opanowaliśmy go jeszcze na piątym roku, podbierając jabłka u skąpych handlarek.

Przegalopowawszy do końca ulicy, mistrz ściągnął cugle, z zaniepokojeniem potrząsnął głową, wycelował mieczem jak kopią, zakręcił na drugie okrążenie... trzecie... czwarte...

Wzdłuż całej ulicy unosiły się tumany kurzu. Wieśniacy, podzieliwszy się na dwie grupy wsparcia, z krzykami entuzjazmu lub rozczarowania witali każde



okrążenie. My ze Smółką z niewielkim zainteresowaniem obracałyśmy głowy tam i z powrotem, nie ruszając się z miejsca.

W końcu mistrz postanowił zmienić taktykę i ruszył na nas z groźną powolnością ciężkiej balisty, załadowanej dwuręcznym mieczem. Wyglądało to nader efektowne, nawet trochę się zaniepokoiłam, ale w tym momencie Smółka zalotnie wygięła szyję i cieniutko, pytająco zarżała.

W procesie polowania na wiedźmę zaszła nieduża przerwa — koń rzeczywiście okazał się koniem i przejawiał duże zainteresowanie Smółką, wierzgnął tak, że rycerz zadźwiewał wszystkimi przegubami. Mistrz zdecydowanie szarpnął cugle, ale ogier postanowił wykazać narowisty charakter i zaczął kręcić się w jednym miejscu, próbując stanąć dęba już z własnej inicjatywy.

Dla mnie było to bardzo ciekawe, że oni mimo wszystko zamierzali mnie łąpać, dlatego nie spieszyłam się do opuszczenia miejsca polowania wymawiając się pilnymi sprawami, wymagającymi mojej natychmiastowej obecności. Giermek podjechał bliżej i razem, synchronicznymi ohami-ahami witaliśmy każdy wybryk ogiera. Mistrz już stracił nadzieję na jego ujarznienie, rzucił cugle, miecz i chwycił się końskiej szyi, kurczowo uczepiwszy się za nią obiema rękami.

— E-e-e-e... Pani wiedźma, — niepewnie zaczął chłopak, nie odrywając spojrzenia od pasjonującego widowiska. — A może Pani dobrowolnie się podda?

— Za nic, — odezwałam się w roztargnieniu, patrząc z aprobatą jak rycerz powolutku zaczyna zsuwać się w lewo. — Będę walczyć do ostatniego...

— A jeżeli wyznaczymy za ujęcie Pani pewną sumę i Pani jako pierwsza zechce ją otrzymać?

Spojrzałam na giermka z nieco większym zainteresowaniem i uwagą niż z początku. Prostolinijna, dobroduszna i szczerą twarz, ale z podwójnym podbródkiem. Piwne oczy, jednak zbyt poważne dla tak młodego wieku. Tacy chłopcy wyrastają z czasem na wiernych towarzyszy broni albo groźnych wrogów. W każdym bądź razie, póki co, to on nawet nie uzyskał prawa do noszenia własnego miecza, a siwy konik szybciej nawykł do rozwożącego wodę wózka, niż do siodła.

— To zależy od wielkości sumy, — powiedziałam ostrożnie.

Chłopak chętnie odpiął od pasa sakiewkę i przerzucił do mnie. Woreczek nieoczekiwanie przyjemnie zaciążył mi w rękę. Rozwiązałam i zajrzałam. Oho! Na oko, nie mniej niż pięćdziesiąt złotych kładni. Popatrzymy, oczywiście, co za robótkę oni mi podsuną, ale w razie czego zawsze można zażądać dopłaty za ryzyko. Albowiem łapanie wiedźmy, jak się okazało, to nader niebezpieczne, skomplikowane i niewdzięczne zajęcie... Gruchot! Mistrz rozpląsał się na ziemi, wbijając się w nią na kilka dobrych piędzi. W tym momencie koń przestał zataczać kręgi i stanął jak wryty, zachwycając się rezultatem swoich działań.

— Dobrze, — odpowiedziałam krótko, wepchnąwszy sakiewkę do torby z ziołami. — Niczego nie obiecuję ale spróbuję złapać tę łajdaczkę.

Rzuciwszy mi wdzięczne i przepraszające spojrzenie, chłopak zeskoczył z konia, pośpiesznie podbiegł do rozpląszonego rycerza, przykucnął i z szacunkiem odsłonił mu przyłbicę:

— Panie zwyciężyliście, ona się poddała!

— Bardzo dobrze, — wymamrotał mistrz, tarzając się na plecach, jak przewrócony żuk. — Pomóż mi się podnieść, Tiwalij!

Chłopak z chęcią chwycił rycerza pod pachy, poczerwieniał od wysiłku i z bożą pomocą ustawił w pozycji pionowej. Nawet nie spojrzawszy na, z takim powodzeniem złapaną wiedźmę, mistrz sapiąc polazł do pokornie stojącego w miejscu konia. Najbardziej skomplikowane okazało się podniesienie nogi do strzemienia, a wsunąć ją tam przyszło się giermkowi, tym bardziej, że żelazny nosek były specjalnie zaostrzony. Mistrz trochę poskakał na jednej nodze ale jednak usadowił się w siodle i dopiero wtedy raczył zwrócić na mnie uwagę. Obdarowałam go czarującym uśmiechem. Rycerz poczerwieniał, ale na prowokację nie zareagował.

— I jeszcze, — sucho rzucił. — Skoro my pomodlili się i połączyli serce, i zdecydowali się uciec do pomocy sił nieczystych, to te powinny być siłami wyższej konieczności, a nie nędznymi wysiłkami wędrownych szarlatanów! Wzruszyłam ramionami. Zupełnie prawidłowe żądanie, choć wolałam, aby je wypowiedano innym tonem. Ryjąc w przytroczonej do siodła torbie, dosięgłam porządnie podniszczzonego zwoju, z tłustymi plamami i przylepionymi okruszkami — świadectwa ukończenia Szkoły Magów z wykazem późniejszego przebiegu służby — i podałam go mistrzowi.

Rycerz z obrzydzeniem, dwoma palcami chwycił za róg zwoju, potrząsnął, żeby ten się rozwinął i zaczął czytać. Po pierwszej zaś linijce oczy zaczęły wyłazić mu ze zdziwienia, po drugiej pergamin wysliznął się z osłabłych palców i na powrót się zwinąwszy, skoczył w moją nadstawioną dłoń.

— No, to jak tam, Panie mistrzu, moje rekomendacje was zadawalają? —

zapytałam najbardziej niewinnym tonem.

— T-tak, pogań... Pani wiedźmo, więcej niż bym chciał.

— Doskonale — ściągnęłam lejce, i wstrząśnięty mistrz bez sprzeciwu pozwolił mi stanąć na czele „łowczego” oddziału.

\* \* \*

Z bliska zamek robił nie byle jakie wrażenie — oszałamiał swoją wielkością, wyrastając nade mną jak skała. Oczywiście, nie do zdobycia. Wzdłuż murów fortecznych ciągnął się szeroki rów, z wkopanymi w dno palami, wypełniony wodą. Wielu wrogów w najbliższym czasie nie przewidywano, rów znajdował się w rekonstrukcji i wody w nim było tyle co kot napłakał. Spędzeni z Rozdroża chłopcy sprawnie posługiwali się szerokimi łopatom, wydobywając nagromadzone latami wodorosty, pokrywające muliste dno.

Nad  
brzegiem  
rowu  
stał  
wóz  
z  
ociosanymi  
palami

— do wymiany tych co nadgniły. Po górcie wyrzuconego na brzeg szlamu skakały oburzone, grube żaby. Zardzewiałych zbroi, czaszek i innych świadectw

sławnych bitew jakoś nie zauważyłam. Wrogowie (zazwyczaj stepowe orki, chociaż, bywało, że na Białorję łasili się jej najbliżsi sąsiedzi — Winessa z Wołmeniej) podchodzili do zamku, zadzierali, tak jak ja głowy, pogwizdywali i mówili: „Znaleźli durniów!” — i nawet nie próbując zacząć oblężenia, szli wojować w inne miejsce. Rycerzom, przeklinającym pod nosem, przychodziło (wyłazić zza murów fortecznych) i doganiać niesumiennego przeciwnika w szczerym polu albo maszerować na przełaj w celu połączenia się z regularnym wojskiem.

Zamek wznosiły gnomy, powoli i solidnie. Pełnych sto trzydzieści lat, dopóki kolejny król nie zdał sobie sprawy, że należy zamienić godzinową płacę na akord. I nie minęły trzy miesiące, jak Kruczy Szpon został uroczyście oddany do użytku. Ale, że wielu wrogów nie mogło docenić wykonanej ze względu na nich pracy, obronny bastion przekwalifikował się w szkołę rycerską, sprawnie dostarczającą belorskiemu legionowi dzielnych wojaków.

Przedostać się na tamten brzeg było można po jednym, jedynym zwodzonym moście (nie licząc, ma się rozumieć, sekretnych przejść, w które obfitowała każda szanująca się twierdza). Oprócz masywnej, wzmocnionej stalowymi pasmami bramy, wejścia do twierdzy broniła krata ze sterczącymi na zewnątrz, długimi na dłoń kolcami. To jeszcze nie wszystko — za kratą zaczynał się długi, wąski korytarz, w którym także widoczne były otwarte na oścież skrzydła następnej bramy. Pod pułapem czerniały prostokątne otwory strzelnicze, przez które stojący na dziedzińcu łucznicy mogli bez przeszkód zabijać strzałami, pochopnie wsuwających się w korytarz najeźdźców. Bronić się w tym miejscu to sama przyjemność, tylko wielka szkoda, że wrogowie ani

razu jej nie doświadczyli.

W tej chwili most był opuszczony, wszystkie furty otwarte, a krata podniesiona. Obok niej, podpierając ściany i ospale rozmawiając, pełnili wartę dwaj rycerze. Ujrzawszy nas, tak pospiesznie się wyprostowali, aż im zadźwięczały zbroje.

Nagle uświadomiłam sobie, że nie słyszę już odgłosu kopyt i ani pobrzękiwania zbroi za plecami. Osadziłam konia i obejrzałam się. Rycerz i giermek stali pięć kroków od mostu, obserwując mnie z jakąś podejrzaną, chciwą ciekawością.

— W czym rzecz? — zapytałam nieufnie — Tylko nie mówcie, że podpiłowaliście go specjalnie dla mojej skromnej osoby!

— Ależ skąd, Pani wiedźmo! — pośpieszył zapewniać mnie chłopak i objechawszy Smólkę, jako pierwszy wjechał na most. Zatrzymał się przed bramą, zawrócił się koniem i stanął naprzeciwko mnie.

Co ciekawe: twarze wartowników zastygły w oczekiwaniu. Szepnęli coś między sobą uderzając się w ręce, przypieczętowując tym zawarcie jakiegoś tam zakładu.

Obok mnie, demonstracyjnie, nie śpiesząc się i nie oglądając się przejechał mistrz.

Upierać się dłużej byłoby głupio. Zwyczajny most, szeroki, pewny, na dwóch grubaśnych łańcuchach. Mogła po nim swobodnie przemaszerować ustawiona w cztery rzędy pancerna jazda, a most nawet by nie drgnął.

Wzruszając ramionami rozkazująco cmoknęłam i potrząsnęłam lejcami. Praca to praca, dziwactwa klientów nie powinny mnie wyprowadzać z równowagi.

Gdy tylko kobyłka przekroczyła most i znalazła się na drugim brzegu, wszyscy odetchnęli z ulgą, spojrzeli na siebie znacząco i mistrz, dawszy znak do podążenia za nim, skierował konia pod spiczaste sklepienie długiej, ciemnej galerii.

— Możesz mi to wszystko wyjaśnić? — poprosiłam szeptem, pozostając trochę w tyle i zrównując się z jadącym za mną giermkim. Chłopiec spojrzął z ukosa na mistrza i także półgłosem odpowiedział:

— Uważa się, że na most rzucono klątwę, którą sprowadza na wkraczające na niego kobiety natychmiastową śmierć.

— Co?! — Z oburzenia nawet się zatrzymałam, a rycerze w ślad za mną.

— A wcześniej nie można było tego powiedzieć?

— Ależ Pani jest wiedźmą, — z zakłopotaniem mruknął chłopak.

— Otóż właśnie! Wiedźma, a nie czarodziej! A może „ośrodek zła”, a dla was to wszystko jedno.

— To nie tak, — pośpiesznie poprawił się Tiwalij, —Pani przecież rozumie, że jest jeszcze i czarującą kobietą, ale czyż wiedźmie może zaszkodzić jakaś tam klątwa?

„Jeszcze i jak może!” — ledwo mi się nie wyrwało, ale w porę ugryzłam się w język. Nie warto podważać własnej reputacji, tym bardziej, że klątwa nie zadziałała i żadnej magii na moście nie wyczułam. Prawdopodobnie, tą pogłoskę puścili sami mistrzowie, żeby pomóc pozostałym rycerzom przestrzegać świętych ślubów czystości — chociaż by w granicach zamku.

— A gdybym niespodziewanie odbiła klątwę na któregoś z was? — zapytałam zgryźliwie.

Ta kusząca perspektywa z jakiegoś powodu nie spodobała się rycerzom.

Chłopak pośpiesznie cofnął się ku ścianie, a mistrz, tak na wszelki wypadek opuścił przyłbicę.

Korytarz się skończył, a zamek nawet się jeszcze nie zaczął. Mur forteczny łączył osiem strażniczych wież — Szponów, a w odstępie między nim a właściwym zamkiem, bez trudu mieściły się kuźnia, stajnie, ogrodzona arena i niska piekarnia z dwoma kominami, z której dolatywał smakowity zapach świeżego chleba.

W pośpiechu podjechaliśmy do zamkowych wrót, niczym nie ustępującym tym z zewnętrznych murów. Od stajni już biegło dwóch chłopaków, którzy odebrali od nas konie. Jeszcze jeden długi korytarz (tym razem bez otworów strzelniczych, ale z trzema zakratowanymi drzwiami) i znalazłam się w samym sercu Kruczych Szponów — wewnętrznym dziedzińcu.

Było tutaj cicho i chłodnawo, z góry dochodziło tkliwe gruchanie turkawek. Bujny, zimozielony bluszcz zarzucał pędy aż do samego gzymsu. W centrum dziedzińca stała nieduża, sześciokątna altana z krytym dachówką dachem, uwieńczonym drewnianym wizerunkiem kruka. Przypatrzęwszy się bliżej, zorientowałam się, że altana to studnia z wysokim zrąbem<sup>4</sup> w środku.

Z centralnego dziedzińca cztery powitalne bramy odsłaniały widok na nieco mniejsze dziedzińce. Do zamku prowadziło szesnaście jednakowych, dwuskrzydłowych drzwi – każde z trzema schodkami (od razu powstało we mnie podejrzenie, że połowa z nich jest fałszywa i zamurowana, aby zmylić szturmującego przeciwnika). Mistrz skierował się do jednych z nich.

Mogło by się wydawać, że w takim ogromnym zamku i korytarze powinny



być szerokachne — nic podobnego! Wysokie — tak, na trzech ludzi mojego wzrostu, ale iść nimi wypadało gęsiego. To prawda, że często się one rozszerzały w takie nieduże pokoiki z sufitami o łukowych sklepieniach i drzwiami w bocznych ścianach. Niektóre z nich były otwarte, dając początek dokładnie takim samym korytarzom, różniącym się tylko sposobem oświetlenia — ściennymi pochodniami albo słonecznymi promieniami przechodzącymi przez zakratowane okienka. W pojedynkę zabłądziłabym tutaj już w kilka minut — a że niepojęty jest smutny los dziesiątek innych rycerzy, to nie wiem, czy nie natkniemy się na ich spróchniałe szczątki idąc z powrotem...

— Gdzie są wszyscy? — spytałam zaskoczona ciszą panującą w korytarzach.

— Pora obiadowa, — wyjaśnił chłopak. — Bracia przebywają w refektarzu, dokąd i my zmierzamy.

Wypadało kierować się po krętych, spiralnie skręcających się w kamiennej rurze schodach. Czy też gnomy, zapomniawszy, zbudowały je dla siebie, czy też w planach figurowały jako pułapka dla dobrze odżywionych wrogów, to już po pierwszym okrążeniu doznałam na sobie wszystkich uroków klaustrofobii.

Opuszczonym łokciem dotykałam lekko lewej ściany, a bokiem — środkowego słupa, pochylając się instynktownie, tak aby nie uderzyć głową o niski sufit.

Mistrz najwyraźniej zapominał tego robić, albowiem z przodu, raz po raz dochodził niemelodyjny dźwięk walenia hełmem, a co za tym idzie przekleństwa o wcale niemiłym brzmieniu.

— Czy to jedyna droga na górę? — sapnęłam, kiedy dziesięć tuzinów stopni w końcu uwieńczone zostało drzwiami i zatrzymaliśmy się, żeby

zaczerpnąć tchu.

— Nie, Pani wiedźmo. To potajemne przejście, z niego korzystają tylko mistrzowie albo honorowi goście. Wszyscy inni wchodzą na drugie piętro po

4Drewniana obudowa studni inaczej cembrowina lub cembrzyna <http://www.sjp.pl/zr%B1b>,

<http://sjp.pwn.pl/haslo.php?id=2547221>,

<http://www.przyspieszenie.edukacyjne.fundacja.org.pl/?>

[kat=48&page=8&config=&field=kat&order=asc&filter=](http://www.przyspieszenie.edukacyjne.fundacja.org.pl/?kat=48&page=8&config=&field=kat&order=asc&filter=)

[kat=48&page=8&config=&field=kat&order=asc&filter=](http://www.przyspieszenie.edukacyjne.fundacja.org.pl/?kat=48&page=8&config=&field=kat&order=asc&filter=&akcja=view&id=325)

czterech zwyczajnych drabinach. Ale na trzecie, gdzie żyją mistrzowie,

prowadzą tylko kręte.

— A czwarte jest?

— Tak, wieża. Tam was i ulokujemy... znaczy, zamkniemy, — pośpiesznie

poprawił się chłopak, rzuciwszy okiem na mistrza.

Zajęczałam w myślach, wyobrażając sobie trzy piętra schodów pod rząd do pokonania. Znowu ruszyliśmy w drogę, giermek z natchnieniem kontynuował:

— Mamy legendę o sławnym rycerzu, który pierwszy dostrzegł wojsko nieprzyjaciela, okrążające w nocy zamek jak złodziej skradający się po lesie.

Żeby jak najszybciej zanieść tę ważną wiadomość modlącym się w wieży mistrzom, ten dzielny mąż bez zatrzymywania się przebiegł wszystkie trzysta osiemdziesiąt siedem stopni i padł bez ducha!

— A tu nie ma pokoju... to znaczy ciemnicy... gdziekolwiek w piwnicy? —

spytałam żałośnie. — Katownia tam jakakolwiek jest?

— Jest, ale umarli błakają się tylko po górnych piętrach, więc Pani tak czy

siak przyjdzie się... — Chłopak zaciął się, zdając sobie sprawę, że wypaplał za

dużo.

— Co to za um... — zaczęłam, ale tu mistrz, nie zmniejszając szybkości, z poirytowaniem pchnął dwuskrzydłowe drzwi.

Te niespodziewanie lekko otworzyły się na oścież, dźwięcznie trzasnęły o ściany, odbiły się od nich i pomknęły z powrotem. Przemknęły w ślad za rycerzem i nie zdążyłam ich złapać rękoma, z przyzwyczajenia zastępując zwyczajne odbicie — magicznym. Albo odrobinę źle wyliczyłam, albo skrzydła drzwi okazały się spróchniałe, ale w rezultacie, niespodziewanie dla mnie samej z trzaskiem rozleciały się w grube szczapy, rozsypując się po podłodze na dwadzieścia łokci z przodu.

Oczywiście, że tak efektowne pojawienie się, nie przeszło nie zauważonym. Skierowały się na mnie co najmniej cztery setki oczu, przy czym dwie dziesiątki — od najbliższego stołu. Właściciele tych ostatnich, widocznie, siedzieli w zasadzce, bo rycerz i tchórzostwo — to słowa sprzeczne ze sobą, aczkolwiek w rycerskim regulaminie, mające taką samą siłę, co królewski edykt o magach i duchownych.

— Przepraszam, to niechcący — mruknęłam kaszląc na tle zapadłej ciszy.

Twarze otaczających wydłużyły się, wyrażając najgłębszą wątpliwość w tym względzie.

— To jest wiedźma. — Mistrz z obrzydzeniem wskazał na mnie palcem.

Z takim zamyśleniem spojrzałam z ukosa na wyżej wspomniany organ, że mistrz pośpiesznie go cofnął i ściągnąwszy żelazną rękawiczkę, ukradkiem zaczął sprawdzić, czy nie doznał on aby uszczerbku.

Szczególnego zdziwienia ta nowość nie wywołała. Widocznie, wszyscy doskonale wiedzieli, gdzie i po co pojechał mistrz. Młodzież oglądała mnie z

bojaźliwym zainteresowaniem, starsi rycerze bezskutecznie starali się ukryć także same uczucie za wyniosłą pogardą. Zresztą, było i kilka prostych, spokojnych, oceniających spojrzeń. Ci nawet trochę się pokłonili, witając damę. Sala była ogromna, nawet większa od królewskiej. Przy ścianie, za najbliższymi stołami siedzieli giermkowie, w drugim rzędzie — młodzi rycerze, w trzecim — ci z doświadczeniem wojennym, okazale rozwalający się na krzesłach. W środku stołowali się mistrzowie. Pięć z dziewięciu krzeseł stało puste, jedno wyróżniało się wyższym i masywniejszym oparciem, inkrustowanym szlachetnymi kamieniami. „Mój” mistrz, nie zatrzymując się, podszedł majestatycznie do krzesła z przesadną skromnością, giermek z szacunkiem wysunął mi sąsiednie i stanął za jego oparciem.

Gwar głosów niespodziewanie ucichnął. Nawet mistrzowie zerwali się z miejsc i wyprężyli się jak struny, odprowadzając oczami siwowłosego mężczyznę w wieku lat sześćdziesięciu, bez pośpiechu kroczącego do centralnego stołu. Ani broni, ani zbroi na nim nie było — tylko biała, długa riasa<sup>5</sup> z złocistym haftem z przodu. Kruk, oczywiście.

Ze zdumieniem spojrzałam na Tiwalija.

— To głowa zakonu, Najwyższy mistrz, — z głęboką czcią wyszeptał chłopak. — Ostatnie dwa tygodnie gorliwie umartwiał ciało głodówką i samobiczowaniem, modląc się do świętego Fendjulija o wybawienie nas od utrapienia.

Ciała u Najwyższego Mistrza było naprawdę trochę za dużo, wystarczyło by jeszcze na pół roku umartwiania się. To taki dobroduszny tłuscioszek, bardzo dawno temu skończył machać swoim mieczem i zasłużenie spoczął na laurach.

Przecinając sałę, mimochodem potargał czuprynę speszzonego podrostka, zamienił parę słów z rycerzem, który momentalnie oblał się pąsem i, o dziwo, dość uprzejmie skinął mi głową. Bezczelnie siedzącej, oczywiście.

Zanim zajął swoje miejsce, Najwyższy mistrz złożył ręce na piersiach i pochylił głowę.

— Módlmy się, bracia, i podziękujmy świętemu Fendjulijanowi za zesłane nam jedzenie!

Rozejrzałam się wokół stołu. Wyglądało na to, że święty był blisko spokrewniony z karczmarzem z „Rozdroża”: na większości potraw leżały 5 riasa – rodzaj sutanny duchownego ćwiartki cebuli, grubo pokrojony chleb i ser wątpliwej świeżości, a w rozstawionych między nimi dzbankach pluskała zwykła woda, bezczelnie pochyliłam się nad jednym i powąchałam.

Gdzieś tam samotnie marniały pieczone kury, przywodzące na myśl ptasi pomór, kiedy pierwsze zdychają kurczęta i honorowi emeryci. Samotny szczupak z przerażeniem spoglądał na tłum głodnych rycerzy, którzy już mieli zamiar urządzić turniej w celu wzięcia w posiadanie jego zimnego ciała.

Rycerze, widząc w czym rzecz, także nie ociągali się z podziękowaniami.

Lecz gdy tylko opuścili ręce i wycelowali w najbliższe kurczaki, Najwyższy mistrz jeszcze bardziej uroczystszym głosem obwieścił:

— Bracia moi! Kiedy spoglądam na tę obfitość jedzenia, jednocześnie raduję się i ubolewam, albowiem trwamy w grzechu obżarstwa...

Na wszelki wypadek jeszcze raz obejrzałam to co było na stole, próżno starając się odkryć przypuszczalną obfitość.

—...óra ciężkim kamieniem kładzie się na i bez tego przepelnioną czarę naszych grzechów, dając dodatkowe siły zagnieżdżającemu się w zamku złu.

Wobec tego proponuję ogłosić trzydniowy, ponadplanowy post, na chwałę świętego Fiendiulija i na pohybel umarlakowi. Oczywiście, to rzecz absolutnie dobrowolna i w żadnym razie nie będę ganił małodusznych.

Nikt nie okazał się małoduszny, chociaż aprobujący uśmiech mistrza był słabą pociechą dla umykających sprzed nosa kalorii. Usługujący w sali przy stołach chłopcy szybko zebrali i odnieśli do kuchni podstępne kury, przyłapane na pomaganiu umarlakowi. Rycerze posępnie chrupali cebule, starając się nie patrzeć i nie chuchać na siebie nawzajem. Nie zdążyłam jeszcze zgłodnieć, gdy Najwyższy mistrz gorliwie się samoudręczał, nie zjadając nawet cebuli, tak żeby nic nie przeszkadzało nam zacząć rzeczowej rozmowy. Oczywiście, po kwiecistym wstępie na temat mojej ohydnej profesji. Pamiętając, że klient ma zawsze rację, wysłuchałam go z wielką uwagą, ale przekwalifikowania na dajna uprzejmie odmówiłam. Zresztą, mistrz zbytnio i nie nalegał, albowiem wiedźma była mu teraz dużo bardziej potrzebna.

Okazało się, że osławiony umarlak błąkał się po zamku w zgoła nie spacerowym, a raczej w rozrywkowym celu. Czyli on, może i dobrze się bawił, ale nader osobliwie. Przez trzy miesiące, zakon stracił siedmiu ludzi!

Szczególnie nie szczęściło się mistrzom i rycerzom, giermek umarlakowi nawinął się tylko jeden, bo akurat był w towarzystwie przełożonego.

— A Pan naprawdę jest przekonany, że to umarlak, a nie, powiedzmy upiór? — uściśliłam.

— Upiór, umarlak, zjawa — tego nie wiem, — westchnął Najwyższy

mistrz. — Ale on ukazuje się nocami, w zardzewiałej zbroi, wierzchem, na w połowie zgniłym koniu, przenikając nawet do zamkowej wieży, po czym znika bez śladu, przechodząc przez ściany.

Zamyśliłam się na długo. Z jednej strony, przez ściany... z drugiej — na w połowie zgniłym... I jeszcze na koniu, którego podnieść z grobu można tylko przy pomocy magii, bo konie nie mają niezdrowego przyzwyczajenia, by zjawiać się z tamtego świata z powodu polowania na rycerzy. Nie, trzeba samej popatrzeć na ten cud przyrody. Dobrze byłoby zza winkła, a tam pomyślę, czy nie zażądać dodatku za szkodliwość.

— On ich je? — rzeczowo się zainteresowałam. — No, przynajmniej nadgryza?

Połowa

rycerzy

odłożyła

łyżki,

podziękowawszy

świętemu

Fiendiulijanowi, że nie ulegli pokusie sytniejszej stawy, która ze zdwojonym entuzjazmem cofnęłaby im się z powrotem.

Najwyższy mistrz powoli pokiwał głową:

— Jedyne zabija. Zatrutą klingą, prosto w serce, ale cios przenika aż do pleców.

„Wygląda na to, że to mimo wszystko umarłak. Czyli chodzący trup, który czemuś porzucił przytulny grobek. Upiór nie pohamowałby się i przynajmniej

nadgryzłby troszkę, a zjawy nie posługują się materialną bronią”.

— A zanim postanowił Pan mnie wynająć... czyli złapać, sam nie próbował Pan znaleźć na niego sposobu?

— Oczywiście, wypróbowaliśmy wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby: po trzykroć trzydzieści razy odmówiliśmy oczyszczające modlitwy, pokropiliśmy zamek święconą wodą i okadziliśmy odpędzającymi biesawonnościami, a także złożyliśmy mnóstwo podniosłych ślubowań, ale nadaremnie...

— A pułapek przy drzwiach stawiać nie próbowaliście?

Oburzeni mistrzowie wszczęli wrzawę, ale głowa zakonu powstrzymała ich jednym ruchem dłoni i niespodziewanie uśmiechnęła się:

— Przyznaję się, że nawiedzały mnie podobne myśli. Ale, ponieważ umarłak jest w zamku jeden, a żywych braci z tysiąc razy więcej, stawiając pułapki naraziłbym ich na pokusę użycia przekleństw, i, sędzę, że mało kto zdołałby oprzeć się przed takowymi...

Po sali przetoczyła się fala śmiechu, potwierdzająca, że głowa zakonu sądzi prawidłowo.

— Dobrze, a jeśli po prostu zamknąć by się od wewnątrz?

— Zamknięcia umarłakowi nie przeszkadzają. On może pojawić się bezpośrednio pośrodku pokoju, parę razy zdarzało się nam wywazać zamknięte od wewnątrz drzwi. A czasem, nie zważając na najsurowszy zakaz, bracia otwierali mu sami! To dla mnie całkowicie niezrozumiałe...

Dla mnie, uczciwie mówiąc, także. Wszystkie umarłaki, z którymi zdarzało mi się ścierać, zupełnie nie były usposobione do zawierania bliskiej



znajomości i przyjacielskim uściskiem. Dobrze w nich było tylko jedno — bezgraniczna tępota, pozwalająca bez szczególnego wysiłku zapakować ich z powrotem do grobu. Do przejścia przez ścianę oni tym bardziej nie są zdolni, jeżeli, oczywiście, nie ma tam magicznego portalu albo banalnego ukrytego przejścia. Bardziej skłaniałam się ku drugiemu wariantowi — sądząc po zbroi, za życia umarłak siadywał za jeden z tych stołów, a to oznacza, że znał Krucze Szpony jak zły szeląg.

— Da mi Pan mapę zamku?

Najwyższy mistrz z żalem rozłożył ręce:

— Niestety, u nas jej nie ma. Gnomy przekazały nam jeden, jedyny egzemplarz, ale podczas fałszywego alarmu, razem z planem miejscowości został on bohatersko zjedzony przez jednego z naszych braci, ażeby te tajne dokumenty nie wpadły w ręce wroga. Zrekonstruować go, tak i nie udało się, gdyż zamek ogromny i korytarze jego niezbadane...

— Zauważyłam.

Posępnie pomyślałam, że po tutejszym wikcie mapa w zupełności mogła uchodzić za specjal. Więc pomysł z ukrytym wejściem odpada. Znając gnomy, zrozumiałam, że szukać go mogę do usranej śmierci – póki zaintrygowany umarłak nie poklepie mnie z tyłu po ramieniu. Zbadać zamek na ślady magii będzie prościej — od tego i zacznę. W każdym razie, odsypiać przyjdzie mi za dnia, żeby wszechobecny szkielet nie miał szansy otrucia mnie podczas nocnego odpoczynku. Większość rycerzy tak właśnie postępowała, teraz po kryjomu poziewując w kułaki.

— Ale damy Pani coś trochę lepszego, — uroczyście obiecała głowa

zakonu, promieniejąc wypracowanym na „braciach” uśmiechem. — Tiwalij!

Póki Pani wiedźma przebywa w zamku, będziesz wszędzie jej towarzyszyć.

I mnie i giermkowi tak samo opadły szczęki.

— On?! Po co?!

— Ja?! Za co?!

— Dla bezpieczeństwa, — mgliście objaśnił Najwyższy mistrz.

Czyje bezpieczeństwo miał na względzie, nie uściślił, ale pewnie nie moje.

Sprzeciwiać się byłoby nadaremnie, mnie i tak zdziwienie brało, że

zdecydowali się wpuścić lisa do kurnika, czyli wiedźmę do zamku. Tiwalij,

wyglądając jak kupka nieszczęścia skinął głową, potwierdzając gotowość

podążenia za rozkazem. Niech i tak będzie, w razie czego przeszkodzić on mi w

żadnym razie nie był w stanie, a jeżeli co godzina będzie biegać do mistrzów z

raportem — na zdrowie, ja nie mam nic przeciwko. Zwłaszcza jeśli przypomnę

sobie o...

\* \* \*

— ...Dwieście dziewięćdziesięciu jeden... Dwieście dziewięćdziesiąt

dwa...

Giermek potulnie, włókł się za mną, pobrzękując kolczugą i sapiąc mi w

plecy.

— Niech to leszy! — Potknęłam się i pomyliłam. — Ile tam było?

— Trzysta siedem, Pani wiedźmo.

— Pewny jesteś?

— Pragniesz wrócić i przeliczyć od nowa?

Byłam tak wyczerpana, że odpuściłam mu tę kpinę. Na czwarte piętro

wlaziłam dosłownie na czworaka. Czemu zbudowano schody naokoło słupa, czy nie można było zbudować normalnych? Wyszłyby z pięć, albo i z dziesięć razy krótsze! Na drugim i trzecim piętrze sufity były niższe o wzrost dwóch ludzi z podskokiem, aniżeli na pierwszym, ale, według mojego odczucia, wspięłam się na dobre sto sążni.<sup>6</sup> Nie tyle, że się zmęczyłam, co zakręciło mi się w głowie.

Na ostatnim piętrze, płynnie przechodzącym właściwie w wieżę („do obserwacyjnego tarasu zostało razem wszystkiego cztery tuziny stopni, a stamtąd otwiera się wspaniały widok na okolicę!” — zająknął się chłopak, bo mój własny wygląd spodobał mu się jeszcze mniej), znajdowało się w sumie pięć pokoi, a dokładniej, cela zakonna miała rozmiar półtora na dwa sążnie. Zaproponowali mi którąkolwiek do wyboru, przy czym różnica między nimi była mniej więcej taka sama, jeden był wart drugiego. Smętnie obejrzałam bardziej niż ubogie umeblowanie, w postaci jedynej, drewnianej ławki z brzozowym polanem na brzegu, w której za późno rozpoznałam łóżko z poduszką.

— Jeszcze deskę w miejsce kołdry położylibyście! — nie na żarty oburzyłam się — I to ma być gościnny pokój?! Specjalnie, żeby goście nie przesiadywali, to jest nie wylegiwali się?

— Ależ Pani więdźmo, mistrzowie okazali wam wielki zaszczyt! W tej celi bracia medytują, kiedy pragną odseparować się od próżnego świata, pomodlić się i pomyśleć o wieczności.

6 sążeń – stara rosyjska miara długości równa 2,13 metra.

— A jeśli mój program kulturalny jest zupełnie inny?

— Dobrze, zaraz przyniosę Pani poduszkę i materac, — beznadziejnie

westchnął chłopak obracając się w stronę trzystu stopniowej dziury.

Metodą wtykania głowy do pokoju, wybrałam jedną z cel i podniósłszy z podłogi torby (w jednej rzeczy, w drugiej ziółka, para książek i zdekompletowane strzępy podróży notatek, które w perspektywie powinny stać się dysertacją<sup>7</sup>), zawlokłam je do środka. Z jedyne go okna odsłaniał się dosyć, bądź co bądź ponury widok na wewnętrzne podwórka, arenę i forteczne mury z kawałeczkiem nieba.

Dziwnie, jeśli do wierzchołka wieży zostało w sumie pół setki schodków, czy naprawdę stamtąd można dostrzec cokolwiek, co by wzbudziło zainteresowanie? Może są tam schodki na mój wzrost?!

Pierwszą rzeczą jaką zrobiłam to ostukałam ściany — nie wszystkie, oczywiście, a pięć najbardziej podejrzanych kamyczków; z niezadowoleniem podmuchałam na odbite kostki i, postanowiwszy nie tracić czasu po próżnicy i palców, nałożyłam na ściany cementujące zakłęcie. Niech teraz umarlak napoci się w swoim ukrytym przejściu, próbując otworzyć „zaklinowane” drzwi!

Chłopak wrócił podejrzanie szybko, jak gdyby koziołkując stoczył się na dół, a na górę odprowadził go, skaczący mu po piętach umarlak. Zasławszy łóżko, szczodrym gestem zaproponowałam mu polano („podłóżysz pod głowę dwa naraz, będzie bardziej miękko”), ale giermek z zakłopotaniem, wyznał, że myśli o wiecznym, który jego na razie jakoś nie odwiedza i dlatego on przyniósł kołdrę i dla siebie.

— Pani wiedźmo, a czym się teraz zajmiemy? — nie wytrzymał chłopak, widząc brak jakiegokolwiek działań przygotowujących do złowienia umarlaka. Zrzuciwszy buty, zdążyłam rozciągnąć się na leżącej na łóżku kołdrze i

dopiero teraz, z niezadowolaniem uchyliłam powieki patrząc na zbliżającego się

Tiwalija:

— Osobiście mam zamiar się zdrzemnąć. Tak więc bądź dobry — wyjdź i zamknij za sobą drzwi.

— Ale przecież umarlak? — zmieszał się chłopak.

— Jeśli go spotkasz, powiedz, żeby wstąpił do mnie trochę później.

— Ale....

— Posłuchaj, — zaczęłam z maksymalną cierpliwością, — wczorajszy dzień wydał mi się ciężkim z powodu ogarniętej krowim pomorem wsi, nocą coś się nie spodobałam gromadzie leśnym dziwadł, a do obiadu wytrząsałam

7 <http://pl.wikipedia.org/wiki/Dysertacja>

się na siodle i teraz zupełnie nie jestem skłonna uganiać się za waszym chamskim szkieletem. Tak, że do jutra jesteś wolny.

— Do rana?! Ale jeszcze nawet nie się zmierzcha!

— To doskonale, jak raz zdążę odespać obie noce, tę i poprzednią.

Giermek nieśmiało podreptał koło łóżka, z wyrzutem powzdychał, ale nalegać się nie zdecydował.

\* \* \*

Gdzieś koło północy cichutko uchyliłam drzwi. Rozejrzałam się. Aha, uwierzył! Patrzcie go jak chrapie w sąsiedniej celi, nawet przez ścianę słysząc. Zabieranie chłopaka na polowanie nie wchodziło w moje plany — więcej mocy zużyję na jego obronę, i jeszcze zacnie przeraźliwie krzyczeć w najbardziej nieodpowiednim momencie.

Zabrałam ze sobą tylko parę amuletów. Dobrze by było, oczywiście i

miecz... ale czego nie ma, tego nie ma. Zresztą, przeciwko zjawie, on wcale by nie pomógł.

Umarlak, rozumie się, nawet nie pomyślał pomylić drzwi z moimi w oczekiwaniu końca cichej godziny. Przekonawszy się o tym bolesnym fakcie, zesłam na trzecie piętro. Nieskończony korytarz rozwidlał się na prawo i na lewo, czarne otwory bocznych odgałęzień przeplatały się z plamami światła dookoła ściennych pochodni. Odgłos płomienia dodawał i bez tego przygnębiającej nocnej ciszy, szczególnie złowieszczy odcień.

Na początku zdecydowałam po prostu przejść się po korytarza tam i z powrotem, nigdzie nie skręcając. Jeśli on ciągnie się po obwodzie całego zamku, zamykając się w pierścień, — tym lepiej. Gdzieś na piętrze powinny były błąkać się dwa rycerskie patrole, składające się z pięciu ludzi, ale uwzględniając rozmiary Kruczych Szponów, w ciągu nocy oni mogli ani razu nie napotkać ani mnie, ani sobie nawzajem. Umarlakowi także całkowicie nie przeszkadzali.

Buty na skórzanej podeszwie pozwalały mi stąpać po kamiennej podłodze praktycznie bezszelestnie i czujnie wychwytywać najmniejszy, obcy szmer. W strefie cieni kręciły się i popiskiwały niewidoczne szczury, wtórował wyciem wlatujący w okienka wiatr. Jeden raz zdawało mi się, że słyszę takie same ostrożne kroki gdzieś za ścianą, nawet zatrzymałam się i przysłuchałam się, ale, widocznie, przesłyszało mi się. Za to z lewej strony od siebie, zauważyłam drzwi z niewymyślną runą, zrozumiałą nawet dla analfabetów. Pod nią, znajomym kaligraficznym charakterem pisma zostało napisane: „Tylko dla mistrzów”.

„W samą porę”, — pomyślałam zjadliwie. Tytuł Mistrza czwartego stopnia

w bojowej magii otrzymałam niedawno, tej zimy i jeszcze nie zdążyłam do końca odczuć wszystkich przysługujących mu przywilejów. W szczególności, takich jak prawo korzystania z wewnętrznej toalety rycerskiego zamku. Zresztą, kto powiedział, że nie skorzystałabym z niej i w dowolnej chwili?!

Poszukiwania umarlaka zwłaszcza uwiecznione sukcesem — to nerwowa i uciążliwa sprawa, więc przed tym zajęciem nie zaszkodzi...

Uchyliwszy drzwi i rozejrzawszy się, przekonałam się, że pokój trafia w pełni w mój gust — prawdopodobnie, umarlak w szybki sposób zmusił mistrzów do zaopatrzenia się w nocniki. Wewnątrz zobaczyłam cztery kabinki z desek wzdłuż odległej ściany, umywalkę z podstawionym pod spodem wiadrem i dwie, na pół przepalone pochodnie w pierścieniach na podstawkach.

Wzruszona takim niebywałym komfortem, udałam się do znajdującej się z brzegu kabinki, ale nie zdążyłam zrobić i dziesięciu kroków, jak ze zdumieniem odkryłam, że już nie idę, a lecę, przy czym gdzieś w dół, z coraz bardziej narastającą prędkością.

Zakłęcie lewitacji wyrwało mi się całkowicie odruchowo, jak wygibas u ześlizgującej się z dachu kotki. Kłopot w tym, że zakłęcie nocą działało tylko u nekromantów, magowie żywiołów tacy jak ja... dokończyć myślenia nie zdążyłam.

Zadziało.

Zawisnąwszy w powietrzu, w półleżącym położeniu, z zadartymi w górę nogami, z zamartwym sercem, opuściłam rękę na dół i pomacałam zimne główki brukowców. Do ziemi pozostało nie więcej niż półtora łokcia. No to kłapa.

Kurczowo przełknęłam, straciłam koncentrację i czule walnęłam łopatkami o

kamienie. Cóż, mogłam i bardziej czule...

Powoli wracał mi oddech, wzrok stopniowo przyzwyczajał się do półmroku. Prawdopodobnie, spadłam na jedno z wewnętrznych zamkowych podwórek — małą klitkę ze ścianami na wysokość dwóch moich wzrostów i jedynymi drzwiami, wzmocnionymi na krzyż sztabami żelaza. Pośrodku podwóreczka bujnie i aromatyczne, kwitła purpurowa elfia śliwa, szemrała mała fontanna i stała ławeczka do odpoczynku. Zamkową ścianę oplatał niezmienny bluszcz.

Nade mną — pięć sążni, nie mniej — malowniczo czerniała prostokątna dziura o wymiarach dwa na trzy arszyny<sup>8</sup>. Zachwycalam się nią około minuty, nie czułam się na siłach by zebrać myśl i przynajmniej usiąść, nie mówiąc już o godniejszej pozycji. Trzeba przyznać: do kabinki szłam dość beztrosko — kto może spodziewać się podstępu w takim miejscu? — ale nie na tyle, żeby przy świetle pochodni nie zauważyć ogromnej dziury w podłodze. Może nadepnęłam na jakąś ukrytą sprężynę?

Wtem z góry dobiegał niezrozumiały, ale wcale przez to nie mniej wstrętny zgrzyt. Dziura zaczęła powoli się zamykać, jak gdyby zasuwano ją, z niemałym wysiłkiem, ciężką pokrywą. Sprężyna sprężyną, ale na miejsce ją przywracano ręcznie, nie śpiesząc się wyrażać współczucia rozplaszczonemu na dole ciała. Naprzeciw, w górze, coś podejrzliwie zahuczało, głucho i złowieszczo, jak gdyby do dziury toczyli wielgachny kamień. Ta myśl migiem postawiła mnie na nogi, dokładniej, na czworaka. Nie mając aspiracji do wstania, żwawo odpełzłam w centrum podwóreczka. W samą porę — na to miejsce, gdzie tylko



co leżałam, upadł... nie, nie kamień, lecz paląca się pochodnia, wyraźnie oświetliwszy ziemię pod dziurą.

Zawahawszy się parę minut, wróciłam i podniosłam pochodnię.

Nasmołowane na jej końcu gałgany, nie zdążyły nawet szernieć i płomień radośnie tańczył po niej ze wszystkich stron. Widocznie, zapalili ją od jednej ze ściennych pochodni i natychmiast zrzucili w dół. Ciekawe, komu przyszło do głowy włóczyć się po zamku z zapasową pochodnią, jeżeli są one tutaj w każdym kącie?

Spojrzałam z ukosa w górę i jeszcze raz wymruczałam zaklęcie lewitacji.

Bezskutecznie. Strach — straszna siła, innego wyjaśnienia nie widziałam. W każdym razie z powrotem mnie nie wpuszczą, wszystko jedno. Aczkolwiek zupełnie nie przeszkodziłoby z oburzeniem „ej, co za idiotyczne żarciki?!” załomotać pięścią w kuchenny komin, a rankiem posłuchać, kto z rycerzy się jąka...

Opuściwszy pochodnię, poszłam do furki ale tam oczekiwało mnie kolejne rozczarowanie. Drzwi okazały się zamknięte. Pociągnęłam za kółko i na zewnątrz nieprzekupnie szcęknęła żelazna zasuwka. Z hakiem, zamkiem albo lekką zasuwką, jeszcze bym sobie poradziła, ale odsunąć tej ciężkiej lagi magią chyba mi się nie uda, prościej będzie same drzwi zniszczyć.

Rozstrzygać problemu wyjścia w tak radykalny sposób nie chciałam, jak i tłumaczyć zbiegającym się na odgłos hałasu rycerzom, jak tu trafiłam. Można, oczywiście, otworzyć teleport i przejść przez drzwi, ale kto może zaręczyć, że tam nie będzie drugiego takiego samego podwórza? To też bardziej dzienne zaklęcie, nocą jego wystarczy tylko na dwa, trzy razy. Uważnie popatrzyłam w

górze, gdzie przyzywając, lekko kołysało okiennicami okienko na czwartym piętrze. A co, nie tak znowu wysoko — osiem sążni. I już jakby bliżej niż po schodach.

Szarpnęłam za bluszcz obiema rękami. Jaki mocny. Zgrubiały pień nie był cieńszy od pnia drzewa, prawda, składał się z kilku zrosniętych pędów, które rozrastały się na boki na wysokość około arszyna.

Zacisnąwszy w zębach koniec pochodni, z obawą zaczęłam wspinaczkę.

Leżąc okazało się wygodnie, chociaż i strasznowato. Bluszcz na amen wrósł w ceglany mur, giętkie gałązki były na trwale i gęsto posplatane ze sobą, tak że z trudem zasadałam w nich czubek buta. Za to potem, noga tkwiła jak wmurowana. Podstawa to nie patrzeć w dół.

Do drugiego piętra dolazłam szybko i bez przygód. Zostało trzecie, najkrótsze, to jest niskie. Przedostałam się w pobliże kolumny okien, wygodnie umieściłam nogę na brzegu parapetu trzeciego piętra i tylko zebrałam się nieco odetchnąć, gdy wtem, w głębi pokoju mignął słaby ogień — świeca albo kaganek. Rozlegający się w ślad za tym wizg o mało nie wysłał mnie w powrotny lot. Mocniej uczepliwszy się rękami gałązek, zajrzałam w okno i zobaczyłam grubą babę w białej nocnej koszuli, zastygłą pośrodku pokoju z nadgryzionym baranim udźcem w owłosionej ręce. Zdaje się, że baba, zobaczyła mnie niewiele wcześniej...

Nie zdążyłam się zdziwić, co robi w zamku jeszcze jedna kobieta, gdy rozpoznałam w niej Najwyższego mistrza, przykład świętości, ascezy i wierności ślubowaniu, gorliwie umartwiającego, jak się okazało, nie tylko swoje ciało, ale i baranie.

Nie wymyśliwszy niczego mądrzejszego, pomachałam mu ręką na

powitanie i poszłam dalej.

Wizg rozległ się z nową siłą, po korytarzu zadudniły kroki, ale ja już przerzuciłam się brzuchem przez brzeg parapetu i ciężko runęłam na podłogę w swoim pokoju. Wypluwszy pochodnię i nabrawszy tchu, z rozmachem rzuciłam zgasły kij dalej w ciemność i cichutko przymknęłam okiennice. A niech to ghyr psia mać, lepiej by było, gdybym rzeczywiście nie wyłaziła z pościeli!

... Panika nie cichła jeszcze przez dobre dwie godziny, tak i potem, w całym zamku, do samego ranka trzaskały drzwi. Oczywiście, umarlak kategorycznie odmówił ukazania się w tak nerwowej sytuacji. Na wszelki wypadek, doczekawszy się świtu, z czystym sumieniem położyłam się i spróbowałam pomyśleć o wiecznym, ale karygodnie szybko usnęłam.

\* \* \*

Na śniadanie gościnny Fendjulij zesłał właściwie chleb i sól, przy czym pajdy wyglądały, jakby święty krajał je byle jak własnoręcznie, jeszcze za młodu. Za to duchowa strawa stanęła na wysokości! Najwyższy mistrz, stojąc pośrodku refektarza, z wzniesionymi ku sufitowi rękoma, z natchnieniem przepowiadał:

— Bracia moi, uważajcie i drzyjcie, albowiem nocą nawiedził mnie umarlak! Wisiał w powietrzu przed oknem, ale nie miał siły przestąpić przez stojącą na parapecie szkatułę z zębem świętego Fendjulija i tylko zostawił na nim ślad swojego kopyta!

Zdumieni rycerze wydając ohy i ahy przekazywali osławioną szkatułę z rąk do rąk. Hm, w ciemności uznałam ją za skrzynkę na kwiaty...

— Pani wiedźmo, — Tiwalij z widocznym wysiłkiem przeżuł i połknął kawałek chleba, jak najszybciej popiwszy wodą, — naprawdę niczego Pani nie słyszała?

Niewyraźnie wzruszyłam ramionami, zawijając swoją porcję w chusteczkę i wpychając do kieszeni. Mam nadzieję, że Smółce uda się posilić szczodrym fendjulinskim darem z mniejszym uszczerbkiem dla zębów i żołądka.

— I nigdzie Pani nie wychodziła? — zaniepokoił się chłopak, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy.

— Tylko do ubikacji, — niewzruszenie przyznałam się. — A co?

— Ale jeśli Pani poszła by dokądkolwiek jeszcze, to Pani by mnie zawołała, prawda? — dopytywał się bezczelnie Tiwalij.

— Bezapelacyjnie — Podniosłam się z miejsca. — Uprzedzam: teraz idę na cmentarz.

— Po co?! — zakrzuszył się giermek.

— Chować swoje marzenia o śniadaniu, — dociełam, podążając do drzwi.

— Tak że zabieraj jego smutne szczątki i zamykaj procesję!

\* \* \*

— Tak-tak, nie pomylił się Pan — to ja, wasza stała i najbardziej ukochana klientka! — radośnie wykrzyknęłam zdążywszy wsunąć czubek buta w szparę między futryną a drzwiami, które w przeciwnym razie, jak podczas nieporozumienia, próbowały zatrzaskać mi się przede nosem.

Karczmarz niezbyt dobrze opanował sztukę fałszywych uśmiechów. Taki grymas na jego twarzy prowadził prosto do cyrulika.

— Jak miło, że Pan na mnie zaczekał! — kontynuowałam w tym samym

tonie, promieniając nie gorzej niż królewska gwiazdka na słoneczku i niedbale odwróciłam wiszącą na drzwiach tabliczkę „Zamknięte”.

Karczmarz niechętnie puścił bezużyteczną zasuwę, wpuszczając nas do środka. Od razu podążyłam do upatrzonego poprzednim razem stolika przy oknie, usiadłszy twarzą do pustej sali. Tiwalij nieśmiało przysiadł na brzeżku krzesła, ułożywszy ręce na kolanach.

— Więc szanowny, czym Pan mi dzisiaj dogodzi?

Po ponurym sapaniu można było przypuszczać, że trutką na szczuty, ale na podanym półmisku wznosiła się złocista górką pieczonej ryby.

— Częstuj się. — Przesunęłam półmisek na środek stołu.

Chłopak przełknął napływającą do ust ślinkę.

— Ale Najwyższy mistrz powiedział...

— Nie przejmuj się, dla ciebie zrobił wyjątek. Za szkodliwość pracy.

— Naprawdę?! — ożywił się Tiwalij.

— Naprawdę, możesz sam go spytać. Tylko najpierw przekaż mu, że mnie bardzo ciekawi, czy post obejmuje także baraninę w ciemnej porze doby.

Przez następne dziesięć minut od stołu dochodziło pośpieszne mlaskanie i łapczywe chrupanie. Przez pięć godzin zdążyłam zbadać całe dwa cmentarze — rycerski i wiejski, a także znaną w lasku końską czaszkę, — ale umarlakiem i jego wiernym biegunem tam nie pachniało. Za to ja z giermkim tak szalenie zgłodnieliśmy, że gdyby wyskoczył z krzaków jakiś nieopatrzny ghul albo potwór, nie wiadomo, kto by kim się pożywił.

— A dlaczego właśnie kruk? — Zaspokoiwszy pierwszy głód,

bezceremonialnie wskazałam palcem wytłoczony order zakonny, przypięty do

kolczugi Tiwalija. — Wydaje mi się, że nazwa „Zakon Świętego Fendjulija” pasowałaby dużo bardziej.

— Ale, pani wiedźmo, Fendjulij sam założył ten zakon! Nie mógł przecież nazwać go swoim imieniem.

— Tak więc, uwieczniłby wiernego konia albo damę serca. W najgorszym razie jakąkolwiek ozdobną rozetkę. A do czego ten tu, wykończony przez tarczę albinos?

— Kruk symbolizuje mądrość, a biały kolor — dobro. — Chłopak uczciwie próbował oddać natchnione spojrzenie i głos mistrza, który uczył go regulaminu zakonu. Z ustami pełnymi ryby, okazało się to nie takie proste. — Fendjulij był pierwszym Najwyższym mistrzem, głową dla całego zakonu, a mistrzowie — pazurami, to znaczy jego wsparciem i groźną bronią.

— A skrzydła? — z zainteresowaniem uściśliłam.

— Jak pióra w skrzydłach, duże i małe, tak i prości rycerze z giermkami niosą Białego Kruka, do świętego zwycięstwa nad wrogami.

— Genialne. O ogon i inne organy, zakładam, pytać nic nie kosztuje.

Fendjulij na pewno przewidział jakieś górnolotne określenie i dla nich.

Odchyliłam się na oparciu krzesła, głaszcząc syty brzuch. Pomimo wielkiej gorliwości i niekłamanego entuzjazmu, zjeść całej ryby nie byliśmy w stanie.

Tym razem karczmarz działał na zasadzie „żebyś się udławiła, przeklęta!”, nie omieszkawszy zażądać od mnie pełnej ceny, za dobre sześć funtów ryby.

Rozliczywszy się, postawiłam na pół pusty półmisek na parapet, gdzie z miejsca zainteresowała się nim czarna końska morda z wszystkożerną orientacją. Karczmarz tak wykrzywił gębę, jakbym pozbawiła kolacji nie parę

czy trójkę prosiąt, a przynajmniej jego drogą matulę.

— Dokąd teraz? — Tiwalij, widząc, że wstaję, ledwo nie przewrócił krzesła, śpiesząc się otworzyć przede mną drzwi.

— Do zamku. Skoro nie znaleźliśmy fizycznych śladów umarlaka, znaczy, trzeba szukać magicznych. — Na progu odwróciłam się. — Do zobaczenia, szanowny! Było mi bardzo przyjemnie, robić z Panem interesy.

Wyraźnym zgrzytaniem zębami, karczmarz dał do zrozumienia, że nie podziela mojego entuzjazmu ani z powodu naszej znajomości, ani następnego spotkania.

Do południa ledwie zdążyłam obejrzeć pierwsze piętro. Za to bardzo sumiennie: korytarze były tak ze sobą połączone, że kluczyły i rozgałęziały się, a potem schodziły się z powrotem, że po niektórych z nich przechodziłam dwu albo i trzykrotnie, nie zauważając różnicy. Do jednej wielkiej sali, z prowadzącymi na górę schodami, w ogóle trafiłam z dziesięć razy, z czego wywnioskowałam, że znajduje się ona w centralnej części piętra.

Tiwalij, myśląc, że tak i trzeba, w milczeniu maszerował za mną.

Słusznie, że trzymał się w pewnym oddaleniu, żeby nikt nie posądził go o związek z czarodziejskimi gestami i słowami, z rzadka wyrywającymi się z moich warg na przemian z bardziej zrozumiałymi i barwnymi.

Magiczne ślady rzeczywiście znalazłam, przy czym — w wielu miejscach. Po pierwsze, na cholernych kręconych schodach. Gnomy, zmuszone ostatecznie do oddania zamku pod klucz (i to po tym, jak kilka ich pokoleń szczęśliwie utrzymywało się z przeciągającej się budowy!), mściwie nałożyły na słupy schodów zaklęcie potrojenia. Okazało się, że naprawdę, to na każdym

piętrze jest po trzydzieści — czterdzieści stopni. Za to schody na wieżę, po przeliczeniu, zmniejszyły się pięciokrotnie — nie na próżno dziwiłam się niezgodności między ilością schodków, a jej wysokością. Ale, ponieważ ze schodów między piętrami korzystano częściej, tym prostym przestawieniem gnomom udało się, bądź co bądź, porządnie napaskudzić mieszkańcom. Zdjęcie zaklęcia zabrałoby mi zbyt wiele sił i czasu (być może, potem, za dodatkową opłatą...), tak że ograniczyłam się do indywidualnego portalu.

Po drugie, magią i tak cuchnęło od przechodzących obok rycerzy. „W Fendjulianie miej nadzieję, a sam nie pokpij sprawy”, — myśleli sensownie i na wszelki wypadek zaczarowywali miecze od wyszczerbienia, a zbroje od rdzy i ześlizgujących się ciosów. Z prostymi sprawami było gorzej, gdyż „przeciwko łomowi nie ma sposobu”. Oczywiście, swoje wizyty w „przybytku zła”, to znaczy w sklepiku maga, rycerze skromnie pomijali milczeniem.

A po trzecie — i to już jest bardziej interesujące! — po całym zamku, gdziekolwiek ledwie widoczne, a miejscami wystarczająco wyraźne, wyczuwało się magiczne zakłócenia zupełnie niezrozumiałego dla mnie pochodzenia i przeznaczenia. Podobne do czystej, żywiołowej magii, ale jakby już przez kogoś zużytej i dla innego maga niezdatnej.

Rozmyślając, zatrzymałam się naprzeciw bardzo wysokich, dębowych drzwi, z wymyślną rzeźbą w obramowaniu futryny. W skupieniu przygryzłam wargę, przebiegłam wrażliwymi koniuszkami palców po ich skrzydłach.

— Pani wiedźmo, Pani tutaj nie wolno! — niepewnie usiłował protestować chłopak.

— Dlaczego?



— No... tu znajdują się święte relikwie ojców-założycieli zakonu, w tej liczbie samego Fendjulija!

— I co? — obojętnie odezwałam się, obiema rękami szarpiąc za odlany pierścień, o wyglądzie kruka ze złączonymi nad głową skrzydłami. Drzwi ze skrzypieniem ustąpiły, wionęło grobowym chłodem. — Oni mogą mieć coś przeciwko mojej wizycie?

— Oni — nie wiem, ale mistrzom to naprawdę się nie spodob! Oni zdecydowali, że Pani znieważa świętości!

— Cóż to za świętości, jeśli je można znieważyc jednym spojrzeniem? — odmruknęłam krytycznie, badając rząd, składający się z pięciu sarkofagów. Nad każdym wisiało płótno w połączanej ramie, przedstawiające świętego w momencie największej chwały jego żywota. Ktoś gorliwie uzdrawiał całą cizbę żebraczek nie mających władzy w nogach i rękach, ktoś z pełną wyrzutą twarzą i dobrymi-przedobrymi oczami przebijał na wskroś smoka lśniąca kopią, ktoś z natchnieniem czytał modlitewnik, wzruszonemu do łez upiorowi...

— A Pani co, zebrało się na nich patrzeć?! — powiedział z jeszcze większym przerażeniem chłopak. Zamknąć za sobą drzwi, nawiasem mówiąc, młodzieniec nie zapomniał.

— A jak inaczej dowiemy się, czy któryś z nich nie rusza po nocach wieka? — Nieustraszenie zapukałam kłykciami po marmurowej płycie. Święty Fendjulij był przechowywany w środkowym sarkofagu, zamkniętym na ogromny zamek spichrzowego typu (prawdopodobnie, żeby rycerze nie, rozwłoczyli go bez reszty na amulety). Obraz nad nim był pędzla innego malarza, wcześniejszego i realistycznego: Fendjulij, w drodze wyjątku, po

prostu mu pozował, złożyłwszy ręce na głowni pionowo ustawionego miecza.

Żadnych aureoli, białych skrzydełek i społecznie pożytecznych czynów — ciemnowłosa mężczyzna w prostej kolczudze, ze znużeniem uśmiechał się z portretu, przy tym tak przewrotnie przymrużywszy oczy, jak gdyby przejrzał mnie na wskroś.

Nie mogłam przysiąc, że dziwna magiczna moc wychodzi właśnie od niego, ale koło grobowca jej ślady były o wiele wyraźniejsze.

— Ależ, Pani wiedźmo! — przeraził się giermek. — Święci strzegą spokoju mieszkańców zamku, a nie jeżdżą po nim w gorszącym, w połowie zbutwiałym wyglądzie!

— Tak więc teraz to sprawdzimy, — oświadczyłam niepodważalnym tonem, zdejmując z sarkofagu srebrny wazonik z przyłasczkami.

Postawiwszy go na podłodze, pochyliłam się i uważnie obejrzałam zamek.

Szczelina w nim była, ale zalana pomarańczowym woskiem z odciskiem zakonnej pieczęci. Ostrożnie pokręciłam zamkiem, poszarpałam za zaczepy, kombinując jakiego zaklęcia by użyć. Najprościej, na pewno... co za głupstwo?

Dolny zaczep zamka jakoś podejrzliwie zakołysał się, raz w jedną, raz w drugą stronę. Wzmocniłam nacisk i ze zdumieniem odkryłam, że zapomnieli go przymocować, czy też, że odkręcili go później.

— Odsuń się od mnie — Zakasałam rękawy i trochę szerzej rozstawiłam nogi, jakbym zamierzała otworzyć sarkofag gołymi rękami.

— Oj, Pani wiedźmo, a może, mimo wszystko nie trzeba? — z uczuciem bezradności pisnął giermek. — A jeśli święty Fendjulij oburzy się, że Pani bez potrzeby narusza jego spokój?

— Przepraszę i skłamię, że pomyliłam wieka. Wyjdź na korytarz, jeśli się boisz.

Tiwalij zmrużył oczy i odwrócił się. Po paru pchnięciach, wieko bezdźwięcznie przesunęło się na bok, i ja, świecąc sobie pochodnią, z zainteresowaniem pochyliłam się nad szczeliną szeroką na dwie dłonie.

— Nic dziwnego, że na zamku nieczysto, — mruknęłam, badając wnętrze głębokiej marmurowej skrzyni. — Fendjulin taki owaki fju fju...

Giermek podskoczył jak ukąszony. Wlepił w sarkofag tak wytrzeszczone oczy, że zaniepokoiłam się, żeby ich tam nie upuścił.

— Jak to?! A gdzież on?

Wzruszyłam ramionami:

— Przypuszczam, że wyjechał na przejażdżkę. Czy tutaj nie ma przypadkiem sarkofagu z świętym koniem?

Ale Tiwalij był w takim stanie, że nie mógł docenić moich żartów:

— Co za okropność! Trzeba natychmiast zawiadomić Najwyższego mistrza!

— I przyznać się, że bez zaproszenia wdarliśmy się do łożnicy Fendjulija?

Nie radzę. — Dla pewności jeszcze raz zajrzałam do sarkofagu. Święty, rozumie się, nie pojawił się.

— My?! To Pani tam polazła!

— A dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

Na takie wiarołomstwo chłopcu opadła szczęka. Może za parę minut on i zdołałby dać mi godną reprimendę ale wtem z korytarza dały się słyszeć czyjeś ożywione głosy. Twarz giermka i bez tego nie płonęła rumieńcem, nabrała

delikatnego zielonkawego odcienia.

— O bogowie, to mistrz Tierien. Rano wspomniał, że przyprowadzi do świątyni kilku pielgrzymów, którzy wcześniej uzyskali pozwolenie pomodlenia się w świętym miejscu! Jeśli on Panią tu znajdzie, zabije mnie!

Westchnęłam. Wiedzmy to mistrz nie ruszy — będzie się bał, a te chłopaczysko rzeczywiście może oberwać. Innego wyjścia ze świątyni nie było, rozstawione wszędzie świece oświetlały każdy kącik. Jak na nieszczęście, w tym miejscu korytarz nie raczył zrobić ani jednego skrętu i wyjść tą drogą nie mogłam, mistrz od razu by mnie zobaczył. Wymyślać zaklęcia niewidoczności nie było czasu, ale coś niecoś, w każdym bądź razie zdążyłam.

Kiedy już podjęłam decyzję, nie lubiłam zwlekać z jej realizacją, więc śmiało zarzuciłam nogę na brzeg sarkofagu.

Giermek wydał drżący jęk, w tonacji podobny do przedśmiertnego.

Odwracać się i sprawdzać, czy nie poraził go, paraliż od takiego bluźnierstwa, nie było czasu. Za prawą nogą podążyła lewa, a za nią i moje całe trzy i pół puda<sup>9</sup>, które klapnęły na brzuch. Wieko z trzaskiem wróciło na miejsce.

W sarkofagu, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, okazało się nader komfortowo. Żyłki w marmurze, na zewnątrz węglowo-czarne, przepuszczały do grobowca słabe niebieskawe światło. Powietrze i dźwięki przenikały przez starannie wywiercone u wezłowia dziureczki. Przewróciłam się na bok i zaczęłam nasłuchiwać.

Akurat w tej chwili łaknący fendjulinskih relikwii pielgrzymi, hałaśliwą gromadą wpakowali się do świątyni.

<sup>9</sup> **Pud** – rosyjska jednostka wagowa. 1 pud = 16,38 kg = 40 funtów = 1280 łutów = 3840

zołotników = 368640 doli. (czyli Wolha ważyła 57,33 kg.)

— Co ty tutaj robisz, Tiwalij? — nieco zdziwiony, ale bez rozdrażnienia zainteresował się Tierien. Przypomniałam go sobie po głosie — wysoki, kościsty mężczyzna, lat czterdziestu, z ciemnymi, zwisającymi wusami, przydającymi twarzy ponury wygląd.

— A... ja... przyniosłem świętemu Fendjuliju świeże kwiaty! — sprostął sytuacji chłopiec, stawiając wazonik na miejscu.

— Nader, nader chwalebnie. — Mistrz życzliwie potargał włosy na czubku głowy Tiwalija. — Z tego pacholecia wyrośnie zacy mąż, odważny i wspaniałomyślny!

Pielgrzymi głośno wyrazili swoją aprobatę. Osądzając po głosach, przy sarkofagu stłoczyło się ich nie mniej niż tuzin. Chłopak, nie czekając, aż mistrz przypomni sobie o powierzonej jego opiece wiedźmie, skłonił się i wyleciał ze świątyni, zamknawszy za sobą drzwi.

Pielgrzymi zbliżyli się i obstąpili sarkofag ze wszystkich stron. Mistrz, zajmwszy honorowe miejsce przy mnie, to jest przy Fendjuliju, w nogach, skromnie zakaszłał, przyciągając ogólną uwagę i wczuwszy się w rolę zaczął mowę:

— Bracia moi! Widzicie przed sobą największą relikwię i świątynię — w tym skromnym grobowcu z czarnego marmuru spoczywa założyciel zakonu Białego Kruka święty Fendjulij...

Na kilka chwil jego głos utonął w pełnych zachwyty westchnieniach i szepcikach. Strasznie korciło mnie, żeby dokonać sprostowania, że na tą chwilę, spoczywam tu ja, w niczym nie ustępująca świętemu, a do tego zaś młoda i

piękna. Nawiasem mówiąc, czarnym marmur w Starminie był na wagę srebra, więc grzechem by było narzekać.

—... wzór bogobojności, czystości, łagodności i pokory, — wchodząc w ciąg, z wielkim uniesieniem opowiadał mistrz, — a także innych cnót, niezliczonych i niezmiernych, których nadmiar wystarczyłby na wszystkich naszych braci! I nawet kiedy po prostu stoję w miejscu jego ostatniego wiecznego spoczynku, czuję, jak spływa na mnie łaska, a dusza przepełnia się nieziemską radością!

— Tak, tak, bracie, my także to czujemy! — z głęboką czcią podchwycił bezładny chór.

— Czasami nawet wydaje mi się, — z udręczeniem kontynuował mistrz wyciskając łzę, — że słyszę jego oddech...

Siedmiu pielgrzymów równocześnie przyłożyło uszy do wieka.

Instynktownie zamarłam na wdechu, chociaż doskonale rozumiałam, że przez ciężką marmurową płytę można usłyszeć najwyżej chrapanie.

— Tak! Słyszę go!!! — po upływie trzymającej w napięciu minuty rozległ się czyjś egzaltowany krzyk, zmuszający mnie do drgnięcia.

— I ja! I ja także! — zawtórowali pielgrzymi. Ktoś, radując się ze szczęścia, padł na kolana i zaczął tłuc łbem o bok sarkofagu. Bracia rzucili się go odciągać (troszcząc się więcej o święty grobowiec, niż o łeb) i skorzystawszy z okazji, także stuknęli po raziczku...

— No, a teraz, — rzeczowo zabrzmiał głos mistrza, — ofiarujcie świętemu Fendjuliju, kto ile może, a jego łaska na zawsze zostanie z wami!

Pielgrzymi chętnie zadzwonili sakiewkami. Pieniądze, w celu

przekazywania świętemu, zbierał mistrz i coś mi podpowiadało, że procent za pośrednictwo mało się różnił od wspólnej sumy datków.

Zachwyceni pielgrzymi, wymieniając wrażenia, powoli przesunęli się na korytarz. Mistrz, dziękując za współpracę, z aprobatą poklepał Fendjulię po wieku, i wyszedł ich śladem.

Odczekawszy dla pewności parę minut, wylazłam z sarkofagu.

— A czy był Fendjulij? — w zamyśleniu zapytałam portret.

Kogoś mi przypominał, ale otóż właśnie kogo... Leszy go wie, może i był, ale nie tutaj. Zapachu gnicia w sarkofagu nie poczułam i wnioskując z idealnej czystości ścianek, okazałam się jego pierwszym lokatorem. Podobnie, święte fendjulinskie relikwie były zaledwie przynętą dla łatwowiernych pielgrzymów z wypchanymi sakiewkami. I wiedzieli o tym tylko pojedynczo wtajemniczeni we wszystko, mistrzowie. Ktoś zaś, z rzadka wylegiwał się w „zamkniętym” sarkofagu, gorliwie sapiąc, przepowiadając albo po prostu podglądając przez szparkę...

Tiwalij wałęsał się koło drzwi, cierpiąc męki z niepokoju:

— No i jak, Pani wiedźmo?!

— Jeśli pytasz o Fendjulię, to go i tak się nie doczekałam. Może, kartkę warto było zostawić? — w zamyśleniu dorzuciłam.

— To nie on!!!

— Nie uwierzę, dopóki osobiście z nim nie porozmawiam.

Chłopak zasepił się z obrazą. Otworzył usta, ale, rozmyśliwszy się i tak niczego nie powiedział.

— Przestań się dąsać, — powiedziałam pojednawczo, delikatnie trącając

go łokciem w bok. — Dawaj, najpierw znajdziemy waszego świętego i nakłonimy go do powrotu na miejsce, a już potem opowiemy o wszystkim Najwyższemu mistrzowi. Póki co, myślę, że on i bez Fendjulija ma wystarczający ból głowy.

Giermek jeszcze trochę pomilczał, w roztargnieniu szarpiąc swój kruczy znak, ale potem, mimo wszystko kiwnął głową i spróbował się uśmiechnąć.

\* \* \*

Elfia śliwa zwykle zakwitała o parę tygodni wcześniej, pamiętając o ciepłej wiosnie w swojej ojczyźnie, Jesionowego Grodu. Niewysokie, rozłożyste drzewa, gęsto obsypane purpurowymi kwiatami o rozmiarze pięści, tradycyjnie ozdabiały pałacowe i świątynne parki, ale, złapane przez zdradzieckie, belorskie przymrozki, owoców nie wydały. A żal — elfy pędziły z purpurowych śliwek wyborną nalewkę, którą spożywały podczas jakiegoś rytualnego święta, właściwie w celu konsumpcyjnym i rozrywkowym.

Stojąc przy szerokim oknie galerii, w zamyśleniu zachwyciałam się płomienistym drzewem. Promienie zachodzącego słońca, rozpryskane na kamieniach mostu, tworzyły dla niego zdumiewające tło w odcieniach purpurowego i pomarańczowego, jakby dookoła ogromnego ogniska.

Badanie drugiego i trzeciego piętra odłożyliśmy na jutro. Tiwalij, gdzieś popędził, wyprosiwszy ode mnie uczciwe rycerskie słowo (cha, cha!), że za dziesięć minut zastanie mnie na tym samym miejscu. Zresztą, nigdzie się i nie śpieszyłam. Trochę postoję, ułożę w głowie dzisiejsze wrażenia i ruszę do swojego pokoju. A nóż uda mi się zdrzemnąć godzinkę lub dwie, przed drugą próbą nawiązania znajomości z zagadkowym umarlakiem.



Giermek coś się spóźniał. Zwolniwszy siebie od złożonej obietnicy,

oderwałam się od okna i poszłam w stronę schodów.

— Pani wiedźmo, poczekajcie! — zawołał mnie czyjś głos. Ze

zdziwieniem pokręciłam głową i zauważyłam ulokowanego w kącie malarza,

w połowie zakrytego sztalugą. Prawdopodobnie, stał tu od dawna, jeszcze przed

moim przyjściem, w porywie natchnienia zdążywszy pobrudzić farbami nie

tylko ręce, ale i twarz. — Nie mogła by Pani jeszcze troszeczkę postać w tej

pozie? Tak, i głowę na lewo obrócić, żeby światło na twarz padało! Otóż tak,

cudnie!

Rycerz ze zdwojonym entuzjazmem zaszurał pędzlem. Zadowolona,

posłusznie zamarłam jeszcze na parę minut. Z żalem, że nie mogę poświęcić

więcej czasu procedurze utrwalenia mojego miłego wyglądu i oszczędzając

sztalugę, z ciekawością zajrzałam malarzowi przez ramię.

Wielka siła sztuki spowodowała, że stanęłam jak słup soli z otwartymi

ustami.

U góry, jakby przyszpilony, znajdował się rozplaszczony biały kruk. Po

bokach fruwała para świętych ze skrzydłami, z natchnieniem brzękających na

gęślach<sup>10</sup>. Pośrodku pstrokato kwitnącego pola, w kółeczku, rozmieścili się

kłęczący mistrzowie, czule spoglądając na rozpalające się ognisko. Na twarzy

przywiązanej do słupa wiedźmy zastygł surowy, złośliwy i jednocześnie

marzycielski wyraz, którego u siebie w żaden sposób nie oczekiwałam.

— Proszę się nie niepokoić, to tylko szkic! — szybko zaczął

usprawiedliwiać się malarz. — I w ogóle, zaledwie artystyczny wizerunek!

— Ach tak, szkic? — Od mojego zamyślonego tonu, twórcza osobowość

jakoś posmutniała i przygasła, nie przeszkadzając mi odrywać płótna od sztalugi. — Ach tak, obraz?!

Rycerz zrozumiał, że nie znam się wcale na sztuce i, pochwywszy pędzle, dał dyla, póki nie porwałam go razem z płótnem, które, nawiasem mówiąc, starannie zwinęłam w rurkę i wsunęłam za pas. Podaruję je Szkole Czarodziejów — śmiechu będzie co nie miara! Zwłaszcza, jeśli wreszcie zgodzę się wykładać tam przez rok magię praktyczną i osobiście poprowadzę studentów na wycieczkę do muzeum...

\* \* \*

Sądząc po dopalającej się świecy, obudziłam się koło północy.

Bezszelestnie ubrałam się, poupychałam po kieszeniach zawczasu wystawione na stół flakoniki i amulety, włosy związałam i spięłam z tyłu głowy. Z przyzwyczajenia sięgnęłam do miecza, ale już dotknąwszy pochwy, z niezadowoleniem cofnęłam rękę.

Nie warto było ostrożnie otwierać drzwi, bo i tak z tamtej strony, coś zadzwoniło i zadudniło. Z oburzeniem odkryłam konstrukcję ze stalowego rycerskiego buta, nasadzonego na przystawiony do drzwi kij. Konstrukcja runęła. Tiwalij wyleciał z sąsiedniej celi, jak kamień z procy.

— Aha, tak i wiedziałem! Nie znowu, Pani wiedźmo, dwukrotnie mnie

Pani nie oszuka, dzisiaj pójdę z Panią!

— No to idziemy, — zgodziłam się chętnie, — A ty spać nie chcesz?

— Nie, ani w jednym ok... — Pod moim uważnym spojrzeniem giermek posmutniał, ziewnął i cofnąwszy się do tyłu, powoli usiadł na łóżku.

— A według mnie, jednak chcesz, — z uśmiechem zakończyłam

nakrywając go kołdrą. — Też mi bohater się znalazł! Jak niby bez ciebie się zorientuję...

... Z umarlakiem, może bym się i zorientowała, ale tutejsze korytarze dały

10 gęśle – <http://pl.wikipedia.org/wiki/G%C4%99%C5%9Ble>

mi się we znaki. Zszedłszy na trzecie piętro, pochopnie skręciłam w boczny

korytarz i, rozumie się, nie minęło dziesięć minut, jak definitywnie i

beznadziejnie zabłądziłam. Pobłądziwszy jeszcze przez półgodziny, poddałam

się i przysiadłam na skraju jednej z ściennych wnęk, pod palącą się pochodnią.

Oczywiście, śmierć z głodu i pragnienia mi nie groziła, ale krępowałam się

pukać do drzwi i długo udowadniać, że to nie zdradziecki umarlak. Ostatecznie

jaka różnica, gdzie urządzać zasadzkę? A nuż, stwór postanowi przespacerować

swój bezcielesny żywot jak raz w tym korytarzu.

Zgasiwszy pochodnię, żeby pozbyć się zdradzieckiego cienia, wlałam we

wnękę w całości, z nogami. Skosy bocznych ścianek, chociaż i zasłaniały przede

mną większą część korytarza, pewniej zasłaniały przed cudzym spojrzeniem,

dając możliwość zobaczenia jego właściciela o sekundę wcześniej. Skorzystać z

maskujących zaklęć nie zaryzykowałam — inne stwory wyczuwam magią

jeszcze lepiej niż zapach żywych istot.

Ledwie zdążyłam pogodzić się z myślą o długim, nudnym oczekiwaniu, jak

najbliższa pochodnia gniewnie prychnęła, kichnęła dymkiem i zgasła. Szybko

wystawiłam do przodu dłoń. Tak, są! Ślady prościutkiego, ale efektywnego

zaklęcia, które rozpląnęło się poprzednim razem, nim zdążyłam ustalić poziom

mistrzostwa i podstawowy żywioł maga. Ono przyszło skądś z daleka, z lewej

strony, w niecałą sekundę pogrążając korytarz w ciemności.

Zamarłam jak mysz pod miotłą, cała zamieniwszy się w słuch. I prawie natychmiast rozróżniłam spokojny stukot kopyt. Dziwny, bardzo niezwykły i jednocześnie znajomy dźwięk. Zbyt głośny dla zjawy, za cichy i nie z tego świata jak dla prawdziwego rycerza. Koń jak gdyby szedł na palcach, przy czym niepodkutych, a ciche pobrzękiwanie, z rzadka wplatające się w postukiwanie, w żaden sposób nie mogło należeć do rycerskiego opancerzonego konia. I nic więcej nie było. Ani chrapania, ani sapania ani skrzypienia siodła... ani jakiegokolwiek magii.

Nie mogąc się powstrzymać, wyjrzałam zza skraju wnęki. Za kołnierz wśliznął się ohydny chłodek, gęsią skórką rozchodząc się po plecach. Dostrzec cokolwiek w panującej na zewnątrz ciemności, nie potrafił by i kot. Drżącą ręką stworzyłam rozpoznawczy impuls, puściłam wzdłuż korytarza... i właśnie wtedy zrobiło mi się naprawdę strasznie!

W korytarzu nikogo nie było. I cóż to za paskudztwo, jeśli nie wytwór magii i nie żywa istota?!

Stukot kopyt przyspieszył, jakoś gwizdnęłam, zdradzając swoje miejsce pobytu. Koń zmierzając konsekwentnie do celu, ruszył na mnie nie tracąc już czasu na obwąchiwanie podłogi!

Do źródła dźwięku pozostawało nie więcej niż sążeń, kiedy moje nerwy nie wytrzymały. Pochodnie buchnęły płomieniem prawie do sufitu, jaskrawo oświetlając korytarz, po którym niespiesznie tupiała... Smółka. Prawdopodobnie szła po moich śladach, a zwęszywszy znajome zakłęcia, już bez wahań podskoczyła naprzeciw. I przecież sama na dniach wplotłam jej w ogon zaczarowaną wstążeczkę, żeby tej paskudnicy nie można było namierzyć za

pomocą czarów!

Wylazłszy z wnęki, złapałam kobyłkę za uzdę. Z zakłopotaniem

podrapałam ją za uchem:

— Jak się tu dostała, moja przyjaciółka?

Smółka zagadkowo przymrużyła żółte oczy. Ze skórzanego kantara zwisał kawałek łańcucha, na końcu jakby spłaszczony przez młot. On to i brzęczał w rytm kroków. Ponieważ rycerze korzystali wyłącznie z ogierów, nie umieścili klaczy we wspólnej stajni, przywiązawszy ją w komórce koło kuźni. Zerwać się z łańcucha, udać się na nocną przejażdżkę, jak i wspiać się po schodkach było zupełnie w jej stylu. Ale kto otworzył jej bramę? Kraty? Drzwi wejściowe? I jakim cudem udało jej się przecisnąć po krętych schodach?!

Przynajmniej teraz, chociaż mniej więcej wiedziałam, z której stronie te kręte schody się znajdują. Ponownie wchodzić w wnękę nie było sensu.

Nieznany mag nie porywał się więcej na pochodnie — widocznie go spłoszyłam, a do pełnego powodzenia zasadzki na umarlaka nie wystarczyłaby mi wałęsająca się klacz, choćby z rzędem! Trzeba jak najszybciej wypędzić tą paskudnicę z zamku, tylko jak?

Ze Smółką przeszłyśmy nie mniej niż czterdzieści sążni, korytarz wcale się nie skończył, a schody odpowiednio się nie zaczęły. Na koniec, ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu, znalazłyśmy się w galerii z oknami wychodzącymi na wewnętrzne podwórze. Pamiętałam dokładnie, że schodów koło niej nie ma.

Lepiej by było, żebym pamiętała, gdzie one są...

Gdy próbowałam zorientować się w sytuacji, kobyłka odeszła na stronę i, nie robiąc hałasu stanęła na tylnych nogach i wyciągnęła się ku wiankowi ze

świerka, przybitemu nad jednymi drzwiami. Pospiesznie syknęłam na bandytkę, i Smółka, prychnąwszy z rozczarowaniem, opadła na wszystkie cztery nogi, zdążywszy jednak zaczepić wianek kłami.

Poprzeciągałyśmy troszeczkę jej łup między sobą. Nie mogłam powiedzieć żeby mój autorytet zwyciężył... szybciej, że przegrał wianeczek, rozdzieliwszy się na dwie nierówne części. Mniejsza natychmiast znikła u kobyłki w żołądku, a większą za czwartym podejściem zarzuciłam z powrotem, ale na gwoździu zawisła krzywo.

Właściwie, a dokąd prowadzą te drzwi? Do tych z mieszkalnego pokoju nie są podobne i z zasuwą na zewnątrz. A wewnątrz... pośpiesznie, ale zupełnie niepotrzebnie odskoczyłam w tył. W przestronnej celi znajdowały się w sumie tylko puste zbroje, założone na zbite z kijów konstrukcje.

Na wszelki wypadek uniosłam rycerzowi przyłbicę, ale umarlaka pod nią nie było.

— „Ta zbroja jest pancerzem i bronią świętego Fendjulija i jego błogosławionego konia”, — przeczytałam podniósłszy trzaskającą pochodnię do stojącej obok tabliczki. — Że też nawet jego koń potrafił się wyróżnić. Smółka, nie chcesz wziąć przykładu?

Kobyłka sceptycznie prychnęła, dając do zrozumienia, że z taką gospodynią jak ja, w „błogosławione” mimo wszystko jej nie wezmą.

— No przymierz przynajmniej. — Zdjęłam z podstawki żelazną końską mordę z długim rogiem na czole i nasunęłam ją na Smółkę. — Widzisz, pasuje! Klacz ponuro spojrzała na mnie z ukosa przez trójkątne wycięcia.

Przesunąwszy się, jednocześnie przełożyłam przez nią pelerynkę z kolczugi i

siodło z szerokimi strzemionami na łańcuchach. Do tylnego łęku był przyspawany wygięty, stalowy pas, z grzebieniem w rodzaju smoczego, dochodzący do jednej trzeciej długości ogona. Z oburzeniem machnąwszy pozostałą długością ogona, kobyłka wykonała zwrot i niezgrabnie stawiając nogi, pomaszerowała do drzwi.

Moja uwaga skierowała się na jeszcze jeden unikatowy eksponat. Obok rycerza, na poduszce z frędzlami, leżał potężny miecz. Sądząc po nim, Fendjulij był co najmniej jak trzej giermkowie — dwaj nadwerężyliby się przy przenoszeniu tej lagi, a jeden by jej po prostu nie podniósł. I zbroja i miecz wyglądały na nowiusieńkie, jak gdyby dopiero co wyszły z kuźni. Albo z jubilerskiego warsztatu — kosztownych kamieni było na nim nie mniej niż funt, plus złota rękojeść. Wrogowie pewnie stawali w kolejce, żeby stoczyć bój właśnie z Fendjulijem i chapnąć to kuszące trofeum. Zaraz, zaraz ... a co to za znak na jego głowni? Zwinięty w kłębek bazyliiszek, znak znanego gnomiego zbrojmistrza, cieszącego się dobrym zdrowiem do dzisiaj, jeśli się nie mylę. Przynajmniej, przed trzema miesiącami był nawet bardzo żywy i niedawno w drodze zdarł ze mnie, za niby „wieczny” miecz ze „specjalnego” stopu. Celowo nie wyrzuciłam rękojeści, żeby przy następnej wizycie w kuźni podetknąć mu pod nos jako kupon na zniżkę. Fendjulijowi poszczęściło się bardziej: nie dożył do zostania gnomim klientem, zabrakło mu jakichś stu lat. Inaczej, być może, po bohatersku padłby w walce gdzieś wcześniej...

— Wygląda na to, Smółka, że to taka sama fałszywka, jak i sarkofag.

Jeszcze jedna przynęta dla łatwowiernych pielgrzymów. — W zamyśleniu poobracałam w rękach hełm z dwoma srebrnymi skrzydełkami po bokach. Nie

mogąc się pohamować, nałożyłam go na głowę i spróbowałam przyjrzeć się sobie w wypucowanej do połysku tarczy. — Madam... z drugiej strony, po prostu bezcenna rzecz dla psychicznego ataku... tak i o fryzurę można się nie martwić. A ty jak uważasz, Smółka? Smółka! Ej!

Kobyłka znikła. W pośpiechu wyjrzałam na korytarz. Nikogo! Niepewnie zagwizdałam. Cisza! Jak i gdzie ona mogła bezdźwięcznie pogalopować w takiej kupie żelaza? A co, jeśli wpadnie komuś w oczy?!

— Smółka!!! — przeraźliwie krzyknęłam, zapomniawszy o konspiracji.

Wracaj tu zaraz, w tej sekundzie, bo będzie z tobą źle.

Korytarze jeszcze nie zdążyły wchłonąć rozchodzącego się w nich echa, jak z przeciwnej strony powstał i zaczął szybko narastać znajomy szczękający huk.

— A, oto i ty, gd... — odwróciłam się, i słowa uwięzły mi w gardle. Coś miękko plasnęło o mój czubek głowy, ale dzisiejszy limit zdziwienia został wyczerpany, i nawet nie chciało mi się sprawdzić, kto i czym mnie uszczęśliwił.

To nie była Smółka! Potrząsając ogromnym mieczem, na potężnym koniu w zbroi z kolcami, pędził na mnie długo oczekiwany umarlak, blado świecąc się wszystkimi kośćmi, w tym i końskimi. Oczy jeźdźca płonęły purpurowym ogniem, konia — zielonym. Dźwięk zbroi mieszał się z suchym stukotem kości.

Wypadało by dopuścić słodką parkę bliżej i dopiero uderzać, ale im udało się wyrzucić na mnie tak trwałe wrażenie, że wystrzeliłam w nich, ani myśląc i nawet prawie nie celując.

Pulsary odbiły się rykoszetem od zbroi i rozeszły się zygzakami, skacząc wzdłuż korytarza, od ściany do ściany, krzesząc na kamieniach iskry. Umarlak



triumfująco, ale, niestety, na próżno ryknął — i bez tego przestraszony koń, z przenikliwym rzeniem stanął dęba, po czym zrobił zwrot i popędził z powrotem w przeciwną stronę. Ku jawnemu niezadowoleniu jeźdźca, który wyraził swój protest zwaliwszy się na podłogę.

Przez parę minut w oszołomieniu gapiliśmy się na siebie nawzajem, potem umarlak (prawdopodobnie także wyrobiwszy sobie o mnie nie najlepsze zdanie), zręcznie skoczył na nogi, złapał miecz i dał drapaką, a dokładniej, oddalił się skokami w stronę okna.

Zatrzymać go, mimo wszystko nie zdążyłam i rzuciwszy się ku najbliższemu otworowi, niebezpiecznie przewiesiłam się przez parapet.

W tym momencie umarlak bez zastanawiania się skoczył w dół.

Wycelował dobrze, fachowo, ale cóż, nie uwzględnił tylko, że pod oknem znajduje się nie jego kościste bydlę i nawet nie flegmatyczny rycerski perszeron...

Podjeżdżanie znajomy koń w rogatym hełmie, w ostatniej chwili perfidnie postąpił naprzód i umarlak wylądował nieco dalej za tylnym łękiem, na grzebieniu.

Szkielet szkieletem, zbroja zbroją, a od podążającego za skokiem krzyku na wrażliwej elfiej śliwie została się nie więcej niż połowa kwiatów. Smółka, w pierwszej chwili przysiadłszy na tylnych nogach, gwałtownie je wyprostowała, podrzuciwszy razem z zadem pasażera. Umarlak, zakreśliwszy piękny łuk, razem z odłamanym grzebieniem odleciał głową naprzód pod łuk bramy, gdzie, sądząc po dźwięku, rozpadł się na oddzielne kości. Rzucić w niego pulsarem nie zdążyłam. Klnąc pod nosem, wciągnęłam się z powrotem w korytarz i z całych

sił pobiegłam w tę stronę, gdzie, moim zdaniem, powinny były znajdować się schody. Czy to nie dziwne, one tam i były. Skacząc przez trzy schodki naraz, a w jednym miejscu potknąwszy się i przeleciawszy przez siedem (uratowała mnie poręcz, w zamian, uczepliwszy się jej, o mało co nie zwicznęłam ręki), w jakieś pięć sekund pokonałam oba przesła łukowe. Na pierwszym piętrze orientowałam się lepiej-gorzej i bez wahania skręciłam w lewo, a potem na prawo i w średnie drzwi.

Naturalnie, umarlaka w nieprzytomnym czy też w jakimkolwiek innym stanie pod łukiem bramy już nie zastałam. Pod ścianą poniewierał się tylko pogięty kawałek zardzewiałego żelaza, w którym po długich rozmyślaniach rozpoznałam nałokietnik z oderwanym uchwytem. Nieco dalej, obejmując się, pogrążeni we śnie jak martwi, odpoczywali dwaj strażnicy i jedna pusta butelka. Kółko z kluczami od trzech korytarzowych krato-drzwi sterczało w szczelinie tych ostatnich. Oczywiście, wszystkie były otwarte. Przywołując zagwizdałam na Smółkę, wskoczyłam na siodło i, zawczasu się pochyliwszy, aby uderzeniem piętami posłać ją w galop. Z wietrzykiem przeleciawszy korytarz, przyhamowałam i porozglądałam się. Nikogo! Zewnętrzne podwórze tonęło w ciemności, na tle fortecznych murów świeciła się zaledwie dziura zewnętrznych wrót. Leżący pokotem koło mostu strażnicy nie z mniejszym powodzeniem niż ich koledzy przeprowadzili degustację zagadkowego alkoholowego napitku. Nie próbowałam nawet się koło nich i zatrzymywać — ukojonych niezgranym chrapaniem — choć może powinnam się i zatrzymać, ale tylko zwolniłam, zaś po drugiej stronie rowu znów pociągnęłam za cugle. Wzburzona kobyłka nie mogła ustać w miejscu, nie mogła się doczekać aby pędzić dalej. Tylko dokąd?

W oddali mignęła sylwetka jeźdźca, oddalającego się od zamku. Raczej, niewiadomo skąd, ale może być, że od strony lasu stara się o zapasowy koński szkielet. Pokiwałam głową, przepędzając idiotyczny obrazek: zdyszany umarłak w pośpiechu odkopuje swojego wiernego bieguna zardzewiałą łopata, zawczasu schowaną w krzakach.

Kobyłka także go zauważyła i pozwoliwszy zwisać cugłom, zerwała się w cwał. Zbroje podniosły niewyobrażalny łomot, w mgnieniu oka ogłuchłam. Żelazne siodło, obliczone na opancerzony rycerski tyłek, nielitościwie kopało mój własny. Na koniec wszystkich nieszczęść, nie zaznajomiona z budową końskiej zbroi, nie umocowałam jak należy na końskim zadzie pelerynki z kolczugi. I ona teraz latała w dół i w górę, wałąc — to mnie po plecach, to kobyłkę po zadzie.

Zresztą, Smółkę to tylko popędzało. Zwyczajnego konia dogoniłybyśmy już dawno temu, a ten jakby i się nie zbyt śpieszył, jednak odległość między nami prawie się nie zmniejszała. Kilka minut temu mogłam przysiąc, że to taka sama zjawia lub umarłak jak i ja, ale teraz znowu zwątpiłam. Zanadto płynnie i bezszelestnie się poruszał, chociaż jeśli sądzić po ostatnio otaczającej mnie kakofonii, było to nader trudne.

Z przodu zamajaczyło widziane dawniej jezioro. Pięknie, z prawej strony las, z lewej strony — droga na wieś, on nie ma gdzie się podziać! Leśna gęstwina rozpieszczać obcych nie lubiła a wiejskie psy z zadowoleniem przyłączają się do pościgu za wędrownymi kośćmi.

Umarłak także to doskonale rozumiał i dlatego w pełnym galopie wjechał w jezioro i... zniknął. Bez najmniejszego plusku, jak gdyby w mgnieniu oka się

rozpłynął.

Naciągać cugli nie było potrzeby — kobyłka sama zwęszyła coś niedobrego i przeszła w stępa, ostrożnego i bezszelestnego. Podkradłszy się prawie do samego brzegu, Smółka zaprychała i odskoczyła w tył. Nie ze strachu, ale dając do zrozumienia: niech gospodyni najpierw wywie się sytuacji, a wierna kobyłka, w razie czego, zanieśe bolesną wiadomość przyjaciołom i bliskim.

Zrozumiawszy aluzję, zeszałam z konia, postąpiłam krok do przodu... i dokładnie w ten sposób, że zachłysnęłam się od niespodzianki.

To było nie jezioro, a... mgła. Biała i gęsta, jak mleko, pluskała równo z brzegami parowu, z rzadka obmacując je krótkimi języczkami fal. Nad nim, jak i nad wodą, unosiła się lekka mgiełka, wiało ciepłem. I magią. Taką samą, co i w zamku, przy fendjulińskim grobowcu. Tylko tu jej było dużo — tak dużo, że aż mnie ścisnęło w dołku od skoncentrowanej w parowie mocy.

Spróbowałam jej zaczerpnąć i wchłonąć, jednak mgła niespodziewanie zgęstniała jeszcze bardziej, stając się prawie namacalną i uprzejme, ale niezłomne uchyliła się od mojej ręki. Nie dla ciebie. Wybacz.

A dla kogo? Umarlaka? Nie, ta magia nie miała nic wspólnego z nekromancją. Do naturalnego źródła także nie była podobna. Ona istniała jakby sama z siebie, jako żywa istota, pobłaźliwie spoglądając na zaskoczoną wiedźmę.

Wygląda na to, że umarlak po prostu się w niej schował, jak w zwyczajnej mgle. Wjechał trochę głębiej i zatrzymał się, złośliwie chichocząc sobie pod nosem lub tym co tam u niego się utrzymało.

Namotawszy na nadgarstek sznurek od amuletu, zdecydowanie weszłam we mgłę. Ale, kiedy ona skłębiła się równo nad czubkiem mojej głowy, zrozumiałam, jaka to beznadziejna sprawa. W niej nie tylko umarlaka — ale własnych kolan nie było można dostrzec.

„Niech Ci będzie, kochaniutki, — pomyślałam ponuro, włączając bieg wsteczny. — Wądół nieduży, wszystkie brzegi są widoczne. Zobaczymy, ile tam wysiedzisz. Osobiście, nigdzie się nie śpieszę, a ty to dopiero wraz ze świtem będziesz mieć og-g-gromne problemy!”

\* \* \*

Poranek okazał się jasny i bezwietrzny. Po nocnym przymrozku, który sumiennie wybielił trawę, na horyzoncie przedarło się słoneczko wyglądające na szczerą drwinę nad zeszywniałą od zimna wiedźmą. Czy warto było liczyć na to, że umarlak raczy zjawić się przed moimi świetlanymi oczami?!

Dalej sterczeć nad jeziorem nie było sensu. Jeśli umarlak nie wylazł z niego nocą, to za dnia tym bardziej się nie odważy. Prostych słonecznych promieni ani żywych nieboszczyków, ani zjawy nie kocham, a zacienionego miejsca, którym on mógł się przedostać do zamku, obok nie było. Wkrótce w Kruczych Szponach zatrąbią pobudkę, jak nas złapią, to chyba nie pogłaszczą po główce za samowolne wypożyczanie fendjulińskich zbroi.

Opamiętawszy się, ściągnęłam z głowy hełm i umieściłam go pod pachą. Na jednym z skrzydełek wisiał zardzewiały wieniec — widocznie, upadł na mnie w momencie pojawienia się stwora. Zamachnąwszy się, ze złością rzuciłam go w mgłę, mając nadzieję trafić umarlaka w czerep. Niech będzie, wrócę wieczorem, nigdzie ty się przed mną nie schowasz!

Wskoczyłam na konia, i poczłapałyśmy truchcikiem z powrotem, grzechocząc, jak cały szereg katorżników z kajdanami na nogach.

A niech to leszy! Przy zagajniku, w połowie drogi do zamku, majaczyła samotna figurka, która z napięciem wpatrywała się w czyste pole. O co właściwie chodzi, nie trzeba było długo wróżyć.

— Pani Wiedźmo, to nieuczciwe! — z daleka zaczął lamentować Tiwalij i, potykając się o kępy, wybiegł mi naprzeciw. — Pani znowu mnie okantowała!

— Zaczarowałam, — spokojnie poprawiłam, podjeżdżając bliżej. — W zamku wszystko w porządku? Strażnicy doszli do siebie?

— A co z nimi było? — zmieszał się chłopak, czasowo zapomniawszy o swoich pretensjach.

— Jeśli bym wiedziała, nie pytałabym.

— Pół godziny temu, z nimi było wszystko w porządku! A cóż Pani... —

Tiwalij w końcu zwrócił uwagę na ekwipunek Smółki i ponownie zbiło go z pantałyku. — Ale to przecież...

— Tak, — przerwałam gwałtownie. — Możesz popędzić do wsi i zdobyć jakiś worek?

— Po co?

— Żeby wepchnąć tam ten chłam i odnieść go na miejsce.

— To nie chłam! To...

— Wiem, co to takiego, — przerwałam. — I także nie doznałam żadnej radości od zetknięcia się z ich łaską! No tak, i poproś o pogryziony worek na ziemniaki, żeby straż przy bramie nie namyśliła się go sprawdzać.

— Jakie niebywałe świętokradztwo! Przecież wszystko do niego nie

wlezie!

— Mogę zmniejszyć wszystko pięciokrotnie, ale lżejsze to się od tego nie stanie. Tak, że, pośpiesz się, dopóki któryś z rycerzy nie namyśli się bladym świtem pomodlić się do tego skrzydlatego wiadra.

— To nie wiadro!!!

— Zgoda, przekonałeś mnie. — Niedbale rzuciłam mu w ręce hełm i zsiadłam z konia. — Siadaj na moje miejsce i jedź na zamek jak jest. Nie mam wątpliwości, mistrzowie będą zachwyceni!

Tiwalij także nie miał złudzeń co do tego wyniku.

— Pani wiedźmo, a Pani dokąd? — z zakłopotaniem zakrzyknął w ślad za mną.

— Kupić worek i jednocześnie zjeść śniadanie. Jeśli zaczekasz na mnie, przyniosę ci parę kanapek.

Giermek dał mi odejść na trzydzieści sążni i krzyknął jeszcze bardziej przenikliwym głosem:

— Z kielbasą!!!

Tylko uśmiechnęłam się, przyspieszając kroku.

\* \* \*

— Czego sobie życycie, Pani wiedźmo?

Ze zdumieniem spojrzałam na karczmarza, użenienie przestępującego z nogi na nogę koło mojego stolika. Nawet ręcznik na łokieć narzucił, coś podobnego!

Prawda, więcej był podobny do szmaty od podłogi, ale taka niebywała obsługa... Mężczyzna w oczywisty sposób się denerwował, oczy mu biegały, jak karaluchy po pustym talerzu.

— Dziwnie, — głośno pomyślałam, nie spuszczać z karczmarza

badawczego spojrzenia, — rankiem przejeżdżałam przez las, ale nie

zauważyłam, żeby tam zdechło coś na tyle dużego...

Ten, w wymuszony sposób zachichotał. Może widział nasze nocne wyścigi

i wreszcie nabrał szacunku? Grzech nie skorzystać.

— Tak więc... w takim razie, niech będzie, kaczka z jabłkami.

— Jeden moment! — Karczmarza zdmuchnęło. I z taką samą szybkością

przyniosło z powrotem.

Zajrzałam do miski i z jeszcze większym zdziwieniem znalazłam tam

wielgachny kęs kaczego mięsa w oprawie kruchych pajdek chleba. Tak

szybko?! On je piekł na smoczym płomieniu, czy co? Czy też znowu od

jakiegoś klienta odebrał, żeby szybciej się mnie pozbyć? Zresztą, potrawa

wyglądała na nietkniętą i pachniała nader apetycznie.

Powąchawszy, wzięłam się za jedzenie. Karczmarz kontynuował sterczenie

koło mojego stołu, jak kołek wbity w ziemię, odprowadzając spojrzeniem każdy

kawałek.

— O co chodzi, szanowny? — nie wytrzymałam. — Jeśli Pan tak już nie

może wytrzymać, proszę wziąć drugi widelec i się przyłączyć!

Chłop potrząsnął głową, jak niemowa w odpowiedzi na groźne pytanie

strażnika: „Czy to ja nie ciebie widziałem nocą z zakrwawionym toporem nad

trupem zasiekanego kupca?!”

— W takim razie niech Pan idzie lepiej zrobić mi na drogę kanapkę z

kielbasą, — przypomniałam sobie.

Zamówienie, wykonane w tak rekordowym terminie, wyglądało nie mniej



imponująco: całe kółko kielbasy w przepołowionym bochenku białego chleba, nawet sznureczek z boku zwisał.

— N-na r-rachynek z-zakładu! — z krzywym uśmiechem wydukał karczmarz.

Do reszty przestałam cokolwiek pojmować i zaczęłam szybciej użytkować kaczkę, aby śpiesznie opuścić nazbyt gościnny lokal. Niech go leszy, kupię worek u któregoś z mieszkańców wsi, a niech ten nienormalny przyniesie mi dwusąźniowy pokrowiec z wialni! Ale ciekawe, co żesz go tak nastraszyło?! Nawet na ganek odprowadzić wyszedł, ledwie co ręcznikiem w ślad nie pomachał...

\* \* \*

Podrzucić zbroję na miejsce udało się nam zadziwiająco łatwo. Na pobudkę, mimo wszystko się spóźniliśmy, ale na czas śniadania zamek jakby wymarł. Strażnicy przy bramie, naprawdę, próbowali żartować: niby że Pani wiedźma pracę z cmentarza do domu wzięła? Wyraziłam mocne zdziwienie na taką przenikliwość, a im migiem odeszła ochota na żarty.

Uchwyciwszy ciężki worek za rogi, powlekliśmy go po krętych schodach, okresowo grzęznąc na zakrętach i wspominając świętego Fendjulija, bynajmniej nie w modlitwach (to znaczy, ja wspominałam na cały głos a chłopak ponuro sapał, wyrażając swoją solidarność dla mnie).

Przy samych drzwiach Tiwalij niespodziewanie zaparł się, obrażony głęboko w duszy moim następnym poleceniem:

— Nie Pani wiedźmo, i nie proście! Stanie na straży jest niegodne prawdziwego rycerza!

— Pokaż, że stoisz na honorowej warcie, — mrugnęłam

porozumiewawczo, zaciągając worek do pokoju.

Porozwieszawszy zbroje (w ostatnim momencie spostrzegłam, że coś jest nie tak i zamieniłam rycerski i koński hełm miejscami), jak najszybciej wyskoczyłam z powrotem i zatrzasnęłam drzwi. Oboje z Tiwalijem jednakowo przytuliliśmy się do ściany po obu stronach futryny i z ulgą westchnęliśmy.

Wymieniliśmy spojrzenia, roześmialiśmy się i pośpieszyliśmy do refektarza, dopóki mistrzowie nie zauważyli naszej nieobecności na kolejnym dietetycznym posiłku na cześć Fendjulijsa.

Ale tam i bez nas się nie nudzono. Na ten raz, w centrum uwagi, znalazł się przyszczaty rycerzyk lat dziewiętnastu.

— Bracia moi! — przeraźliwie jazgotał, dla lepszego rozchodzenia się dźwięku wspiąwszy się na ławę. — Dzisiejszej nocy nie chciało mi się spać — ogarniały mnie myśli o niedoskonałości tego świata i ja, bezowocnie przewracając się w łóżku do północy, opuściłem zamek, aby pospacerować, mając nadzieję, że nocne powietrze wyrze na mnie należyte wyciszające działanie...

Na policzku chłopaka wyraźnie widniał własnej roboty ślad buraczanej pomadki, z czego wywnioskowałam, że w procesie wyciszenia brało udział nie tylko powietrze, ale i ogarnęło go także coś innego.

— I oto, leżąc w krzakach koło zagajnika, zobaczyliśmy — to jest, ja i mój wierny koń, któremu także czemuś nie chciało się spać! — jak z zamkowej bramy wyjechał święty Fendjulij, goniący umarlaka!

Rycerze przysłuchiwali się mu z zachwytem dzieciaków na jarmarcznym

widowisku. Nawet Tiwalij rozdziawił gębę z zachwytu, ale potem spojrzął na mnie z ukosa i z urazą zamknął ją z powrotem.

— Oni przecięli pole, — z natchnieniem nadawała ofiara młodzieńczej bezsenności. — I skryli się w parowie!

Pomyślałam, że, chyba było by warto, zamieścić w moim załączku pracy następny zapis: „Mael-ine-Kirren. I. o. Św. Fendjuliju”.

— A wracając do zamku, zabrałem właśnie to! — Rycerz triumfująco potrząsnął fatalnym grzebieniem.

Grzebień natychmiast poszedł w obieg, tak samo, jak niedawno szkatułka.

Wstrząśnięci rycerze z uwielbieniem, a niektórzy i na poważnie, po całej długości, całowali świętą relikwię, sypiąc ślubowaniami, jak suszonym grochem z dziurawego worka. Dołączyć do owej rozkoszy nie zapragnął tylko

Najwyższy. Pozostali mistrzowie także odnieśli się do tego rozrywkowego przedsięwzięcia bez specjalnego entuzjazmu, głośno cmoknąwszy powietrze w pół wiorsty nad żelastwem.

Z jawną ulgą pozbywszy się dowodu kolejnego fendjulińskiego cudu,

Najwyższy mistrz przywołał mnie palcem:

— Pani wieźmo, Pani opuszczała nocą obręb zamku?

— Tak. — Wszystko jedno, wartownicy opowiedzą.

— Chłopiec był z Panią?

— Tak. — Nawet brew mi nie drgnęła, za to Tiwalij oblał się gorącym rumieńcem po sam kołnierz.

Głowa zakonu nadal przewiercała mnie na wylot spojrzeniem:

— To dziwnie, straż przy bramie was nie zauważyła.

— Zrozumcie, straż była w takim stanie, że nie mogła w ogóle

kogokolwiek zauważyć.

— Bezczelna potwarz! — zerwał się zza sąsiedniego stołu rycerz, który tylko co powrócił z warty. — My z towarzyszami całą noc nie zmrużyli oka! Owszem, przyznaję osuszyliśmy buteleczkę słabego czerwonego wina, ale wyjątkowo, w leczniczych celach, dla podniesienia czujności! Klnę się na świętego Fendjulija!

Korciło mnie żeby palnąć, że święty, niestety, nie może poświadczyć jego przysięgi z powodu nieobecności w miejscu pracy, ale powstrzymałam się w samą porę. Nie tacy z nich durnie, żeby upijać się na posterunku. Tak i zbyt mało było do tego jednej butelki, niechby nawet najczystszej gorzałki z wina. Widocznie, do niej coś domieszano.

Ograniczyłam się do lekceważącego ruchu ramion, nie mając zamiaru czegokolwiek udowadniać albo się tłumaczyć. Rycerz, jeszcze troszkę poburczawszy, ale także nie płonąc chęcią komunikowania się z wiedźmą, usiadł na miejscu.

— Tak, wychodzi na to, że święty Fendjulij już wybawił nas od umarlaka?

— wykombinował ktoś z jego kolegów. — Na co wtedy nam ta ...

„Ta” odwróciła się i obdarowała aroganta takim znaczącym spojrzeniem, że postanowił nie śpieszyć się ze swoim prywatnym zdaniem.

Niestety, ziarno upadło na podatny grunt i bujnie zakiełkowało, w kilku miejscach jednocześnie, tak, że dowiedziałam się o sobie dużo nowego i interesującego. Nie przejęłam się, oczywiście, ale przyjemność była maleńka.

— Poczekajcie, doczekamy nocy i sprawdzimy. — Najwyższy mistrz

powiedział to miękko i niegłośnie, ale narastające szemranie od razu ucichło. —

Pani wiedźmo, czy mogłaby Pani zejść do mnie od razu po śniadaniu?

Posępnie kiwnęłam głową, gwałtownie zawróciłam i opuściłam refektarz.

Na bogów, będę miała mniej problemów. Niech sami łapią swojego umarlaka, tylko potem nich nie narzekają, że on sprzeciwia się ujęciu jeszcze bardziej stanowczo, niż obrzucana błotem wiedźma!

\* \* \*

— Wejdz. — Głowa zakonu sama otworzyła mi drzwi. — Tiwalij, idź tymczasem potrenować mieczem. My z Panią wiedźmą trochę pogawędzimy. Już miałam zamiar usiąść na kulawy taboret, jedyne partnera niezmiennej ławki z poduszką z polana jak w każdej innej cel, ale Najwyższy mistrz, odsunawszy wiszący na ścianie gobelin z jeszcze jedną wariacją na temat wielkich czynów tutejszych świętych, gestem zaprosił mnie do drugiego pokoju. — Przytulnie tu u was, — chrząknęłam przekraczając próg.

Na podłodze leżał dywan, w kącie stało ogromne łóżko z baldachimem, a na ścianie wisiał obraz z rusałką o obfitych kształtach, swawolnie zakrywając pierś ogonem. Zresztą, ogon był mniejszy od piersi co najmniej o dwa rozmiary, tak, że szczególnie nie przeszkadzał.

Głowa zakonu beztrąsko rozsiadła się w fotelu, wyciągnęła spod stołu butelkę z winem i szczerze naląła z niej w srebrny puchar. Upił trochę, po delectował się z przyjemnością, patrząc na mnie, i niespodziewanie spytał:

— Mam nadzieję, że zwróciłaś zbroję na miejsce?

— Zwróciłam... — z oszołomieniem potwierdziłam. — Jak Pan się domyślił?!

— Moja droga! — Najwyższy mistrz otwarcie się ubawił. — Oboje

doskonale wiemy, że Fendjulij nie ma do tej zbroi żadnego stosunku. Dlaczego

więc jego duch by się w nią przyoblekał? Nasi bracia nie poważyliby się na

takie świętokradztwo, umarlak ma własną, znaczy, pozostajesz tylko ty!

— I co? — zapytałam wyzywająco. — Mam zaczynać zbierać chrust czy

też sami się zakrzątniecie?

— Ile masz lat, wiedźmuszko? — zamiast odpowiedzi zapytała głowa

zakonu. — Dwadzieścia, dwadzieścia pięć?

— Dwadzieścia dwa, — zaokrągliłam z przyzwyczajenia.

— Cóż, w twoim wieku także byłem przekonany, że świat dzieli się tylko

na czarne i białe. Ale z wiekiem zrozumiesz, że nadmiernej świętości, niestety,

bliżej do tego pierwszego. — Namiestnik mienia świętego Fendjulija w

zamyśleniu pokręcił pucharem w palcach. — I dlatego pomysł zaproszenia cię

do zamku wyszedł właśnie ode mnie, przy czym doskonale zdawałem sobie

sprawę z następstwa tej decyzji. I teraz chcę zaledwie poprosić cię, żebyś

zachowywała się bardziej... e-e-e... rozważnie. To jest, nie wpadała nikomu w

oczy ani w aspekcie Fendjulija, ani... umarlaka. Albowiem, nie szukając daleko,

nie wszyscy mistrzowie podzielają mój punkt widzenia, a regularna nocna

panika mało sprzyja mojemu autorytetowi...

Poczułam, że się rumienię. Ze zmieszania zakasłałam:

— Postaram się. Czy mógłby Pan opowiedzieć mi w skrócie o tym

przekłę... to jest o świętym Fendjuliju?

Najwyższy mistrz westchnął i niezbyt długo się wahając, dolał sobie wina:

— Sam chciałbym się o nim trochę więcej dowiedzieć. Niestety, nasze

wiadomości są zawiłe i sprzeczne, gdyż oryginalne rękopisy z tych lat prawie się nie zachowały, a spisane w nich czyny są tak upiększone, że wzbudzają wątpliwość. Ktoś pisze, że Fendjulij mógł położyć smoka jednym uderzeniem pięści, ktoś — że wyróżniał się rozumem i zręcznością, umiał przepowiadać przyszłość, a także, uwielbiał wszelakie żarty i rozgrywki. Istnieje nawet legenda, że jego duch dotychczas błąka się po korytarzach na zamku, wyglądając jak jeden z braci i na tego, kto go pozna, łaska nie do opisania spłynie. Hym... pamiętam, w młodości i sam przyczepiałem się, do idącym w przeciwnym kierunku rycerzom z pytaniem, czy on nie Fendjulij... Kronikarze zgadzają się tylko w jednym: był zacnym człowiekiem, odważnym wojownikiem i założył zakon Białego Kruka, powołany w celu obrony prostych mieszkańców Belorii od zła i niesprawiedliwości. Ale my nawet nie wiemy, gdzie jego grób, gdyż pewnego razu opuścił zamek na cowieczorną przejażdżkę i nie wrócił. Prawdopodobnie, natknął się na czołowy zwiad orków i padł w nierównej bitwie — po upływie kilku godzin rycerze musieli pośpiesznie zbierać się na wyprawę przeciwko całej armii tych stworzeń, bez uprzedzenia przekraczającej granice Belorii. Poranione ciało Fendjulija mogło zdradzić ich przed czasem, dlatego, najszybciej, przykryli go gdzieś ziemią. W panującym zamieszaniu szukać go nie było czasu, potem spadł śnieg, a wiosną urosła nowa trawa i ostatecznie ukryła wszystkie ślady.

— Ale to nie przeszkodziło wam w postawieniu w zamku skarbonki z czarnego marmuru — nie wytrzymałszy, wtrąciłam się.

— Co robić?! — uśmiechnął się Najwyższy. — Rycerzom także czasem chce się jeść. A jakich forteli nie wypada zastosować, żeby nakarmić cały tłum

zdrowych chłopaków, chociażby czarnym chlebem! Zamek potrzebuje remontu, a i gnomy nie chcą dawać nam stali do kuźń bezpłatnie. I po to był nam potrzebny symbol, relikwia, która zjednoczyłaby braci zakonu. Fendjulij świetnie nadawał się do tego celu. Kierować takim ogromnym zamkiem wcale nie tak prosto, dziewczynko... Oczywiście, mistrzowie na miarę swoich sił wspierają mnie, ale od niedawna wśród nich zaznaczył się rozłam. Niestety, wszystkim, jak by się nie starać, nie dogodzisz — i tobie to powinno być wiadomo lepiej, niż komukolwiek! — a na takim wysokim stanowisku nawet małe niepowodzenie obraca się w katastrofę... Tak, że nie zawieź mnie, wiedźmuszko.

— Postaram się, — powtórzyłam już bardziej szczerze.

— Tedy nie śmiem Cię dłużej zatrzymywać. Idź, dziecię moje i niech święty Fendjulij będzie z tobą! — odruchowo dodał Najwyższy mistrz i natychmiast się roześmiał.

\* \* \*

— Powinieneś był potargować się z nią, Tiwalij! — dochodzący zza drzwi głos wydał mi się jakby znajomy. Aha, odważny myśliwy na wiedźmę z komitetu po spotkaniu! — Wiedźmy chciwe, i od razu proponować jej całość wydzielonej przez zakon sumy, w żadnym wypadku nie należało. A teraz ona, zdaje się, doszła do wniosku, że może urabiać nas jak glinę.

Jak najszybciej otworzyłam drzwi. Mistrz z jawnym żalem zamknął usta, nie zdążywszy oznajmić zamierzonego paskudztwa.

— A czy u Pana nie zgubił się mój ochroniarz? — zainteresowałam się bezczelnie. Tiwalij jak najszybciej przemknął w stronę drzwi, za moje plecy. —



To dobrze, bo jak raz, ucieczkę miałam zamiar organizować, a ukrócić tego ohydztwa nie ma komu.

Mistrz złowieszczo błysnął oczami, ale się nie sprzeciwił. Uznawszy rozmowę za zakończoną, uprzejmie zamknęłam drzwi.

— Pani mnie naprawdę szukała? — z nadzieją zainteresował się Tiwalij.

— Nie, przypadkowo przechodziłam obok. Tobie zaś trenować kazali, czy coś w tym rodzaju?

Chłopak znowu zaczął się rumienić, jak niedojrzały pomidor na okienku.

Wszystko jasne, znalazł wolną chwilkę i poniósł swojemu Panu wiadomości z pierwszej ręki. Wariant skrócony, rozumie się, w przeciwnym razie mistrz by dostał zawału.

— Zgoda, — zlitowałam się, nie nalegając na odpowiedź. — Jeszcze będziesz miał czas, z nóg padam i do obiadu z pokoju nie wyjdę.

— Uczciwe rycerskie? — nieufnie uściślił chłopak.

— Uczciwe wiedźmowskie! — z uśmiechem poprawiłam.

\* \* \*

Przekartkowawszy książkę do końca, z rozczarowaniem chrząknęłam i poobracawszy ją w rękach, rzuciłam na łóżko do już przejrzanych. Jak rozwiąć zwyczajną mgłę, sama wiedziałam. O magicznej nie było w nich ani słowa.

Jeden mag w zamku jest — to wiadome. Ale jego zaklęcia nie miały nic wspólnego z mgłą. Do czego było mu potrzebne gaszenie pochodni? Po prostu zabawiał się, chciał postraszyć strażę? Czy też wybrał zaciszne miejsce i nocną porę dla cyzelowania nabytej sprawności? Magia w zamku jest zakazana.

I jeszcze ten rozsypujący się na kawałki umarlak... Uważnie przyjrzałam

się nałokietnikowi — miał z trzysta lat, nie mniej, ale rdza pokrywała go tylko na zewnątrz. Wewnątrz stal błyszcząca, jakby została wypolerowana kurtką lub koszulą. A on co, przed atakiem specjalnie rozebrał się do kości i czaszki? A jeśli to był człowiek z tak oryginalnym poczuciem humoru, jakim cudem udało mu się skoczyć w dół z wysokości piętnastu sążni, nie rozpołowiwszy się o grzebień? I potem galopować szybciej od Smółki, a nie z jęczeniem, przebierać nogami na rozkraczonych nogach? Konia na podwórzu to nie było, a do lasu z parę wiorst...

O swojej własnej kobyłce w ogóle zmilczę. Albo Smółka nabrała od umarlaka złego przyzwyczajenia przechodzenia przez ściany, albo plan zamku rycerze zjedli nie tak sumiennie, jak mi zapewniali. I ktoś z niego bezczelnie korzystał.

Ze zmęczenia potarłam czoło. Mózg ogłosił strajk, żądając rekompensaty za nieprzespaną noc. Leszy z nim, sen przynosi dobrą radę. Umieściłam na kolanach torbę i zaczęłam wpychać książeczki z powrotem, uwalniając łóżko. I to mnie uratowało. W przeciwnym razie po prostu nie zdążyłabym jej rozwiązać. Ból w brzuchu skręcił mnie tak nagle i strasznie, że nawet nie zdążyłam jęknąć — gardło jakby ścisnęła napięta pętla, nie przepuszczając ani powietrza, ani krzyku.

Głupia nadzieja na niestrawność lub pozaplanowe kobiece dni błysnęła i zaraz znikła. Zamiast niej, przed oczami stanął paragraf „Trucizna” z podręcznika od zielarstwa.

„Podstawa — nie panikować”, — pouczał mistrz Go-ralt, na naszych oczach upijając z ozdobionego skrzyżowanymi kośćmi flakonu i podobnie bez

pośpiechu wyciągając korek z drugiego, z zieloną trójlistną koniczynką na etykietce. (Na przerwie, kiedy wykładowca wyszedł, w ramach zakładu powtórzyłam niebezpieczną degustację i z oburzeniem odkryłam w obu buteleczkach czystą wodę; co prawda, dla żartu przedstawiłam takie wiarygodne konwulsje, że mistrz, przybiegłszy na przestraszone krzyki mojej paczki, na zawsze wyrzekł się udawania przed adeptami.)

Ale tym razem z pierwszą buteleczką nie oszukali, znaczy, i z drugą pomylić się nie wolno.

Myśl, wiedźmo, myśl... trucizna zaczyna działać co najmniej po trzech godzinach — po powrocie z karczmy niczego nie jadłam i nie piłam... bez smaku, bez zapachu, w przeciwnym razie bym go zauważyła... przeszywający ból z prawie nie przerywanymi szturmami... Nalewka z nietoperzych pazurów albo „Eliksir Szybki Odlot”, jak ironicznie nazywały elfy ekstrakt z pąków rdzawopłatkowej mandragory, rosnącej tylko w matecznikach Jesionowego Grodu?..

W mojej torbie znajdowały się odtrutki na obie trucizny, ale mieszać ich nie można było w żadnym wypadku. Śmierć od „Eliksiru” następowała po upływie półtorej minuty od wystąpienia symptomów, od nalewki — po pięciu-sześciu. Cóż, szybko dowiem się na pewno... albo się nie dowiem. Jeśli ktoś zdecydował się otruć wiedźmę, powinien był działać szybko, żeby wiedźma nie zdążyła nawet pisnąć. Dokładniej, wypowiedzieć zaklęcia albo dotrzeć do torby z ziołami.

Znaczy, „Eliksir”. Gdzie ja mam tą przekletą odtrutkę?! Sztywnymi palcami po rozgarniałam zawartość torby; torba wysliznęła mi się z rąk, plasnęła

na podłogę i flakony potoczyły się w różne strony.

Zaszlochawszy z rozpaczy, przechyliłam się i krzywo, bokiem, spełzłam z łóżka. Ostatkiem sił wyciągnęłam rękę do kręcącej się o jakiś łokieć ode mnie buteleczki, ale, już dotknąwszy zimnego szkła, zrozumiałam że nie zdążę...

\* \* \*

Ocknęłam się z chłodu. Obok wyciągniętej ręki, przewracała się pusta buteleczka. Strużki obok niej nie było, prawdopodobnie jednak wszystko popłynęło we mnie. Zgadłam. Zabij, nie pamiętam, jak zdołałam ją otworzyć i wypić!

Kamienna podłoga podobała się mojemu bokowi coraz to mniej i mniej. Z jękiem przewróciłam się na brzuch i kończyła za kończyną, usiłowałam przesunąć się chociażby do pozycji siedzącej. Mięśnie jakoś się podporządkowały, ale tak ospale i bezwładnie, że byłabym skłonna podejrzewać, czy nie przybyło w zamku o jednego umarlaka więcej. Zresztą, sądząc po narastającym w nich bólu, ciało po prostu zdrętwiało od bezruchu. Ktoś zapukał do drzwi. Niedobrym słowem wspomniałam swoje zaklęcie, nie dające umarlakowi przejść przez ścianę bez dodatkowych ceremonii i uwolnić mnie od cierpień najradykałniejszym sposobem.

Przytrafiło się osobiście docierać po ścianie do drzwi.

— Co tam, młody fendjulińcu?

— Pani wiedźmo, już zmierzch. — zatrajkotał Tiwalij. — Pani nie przyszła na kolację, i zaniepokoiłem się, co mo...

— Wystarczyło mi poranne śniadanie, — skrzywiłam się, przepuszczając go do celi. — Pomilcz chwilkę, dobrze?

Giermek posłusznie przysiadł na brzeжку łóżka, patrząc, jak mieszam w szklance dokładnie odmierzone krople z różnych buteleczek. Od ziółek ściągało kości policzkowe, za to rezultat następował w mgnieniu oka — znowu poczułam się żywiej, chociaż za martwą uznać mnie było jeszcze za wcześnie.

— Czy Pani dobrze się czuje? — ze opóźnieniem spostrzegł się chłopak, jakoś dziwne przyglądając się mojej twarzy. No, błada. Możliwe, że nawet biała jak płótno, z rozszerzonymi źrenicami i odciskiem kamienia na policzku.

Najbardziej podchodzący widok, żeby o północy poskrobać w okienko karczmy i, obnażywszy sztuczne kły, pieszczotliwie zapytać się gospodarza, gdzie zdobył takie zadziwiające przyprawy. Wszystko wyśpiewa jednym tchem.

— Nie, — ucięłam, zabierając butelki z powrotem do torby. Do karczmarza jeszcze zdążę, a teraz trzeba spieszyć do zamglonego jeziora. Przy dziennym świetle umarłak nie odważy się i nosa stamtąd wysunąć; znaczy, będzie siedzieć w nim do zmroku.

Maga i wszechobecną kobyłkę także odłożyłam na potem. Ten węzeł ma zbyt wiele koniuszków; być może, jeżeli uparcie ciągnąć za jeden, sam się rozplącze.

Chłopiec jakby odgadł moje myśli:

— Pani wiedźmo, a dokąd teraz pójdziemy?

— My? — sarkastycznie uściśliłam, obracając się w jego stronę.

Tiwalij na wszelki wypadek zmrużył oczy. Naiwny! Wiedźma nie koniecznie musi patrzeć swojej ofierze w oczy, uspić mogę i na odległości. Ale nie w swoim żesz pokoju! Potem ciągnij go do sąsiedniej celi... Trzeba wymyślić jakiś pretekst, żeby sam się tam wyniósł.

Uśmiechając się, odwróciłam wzrok i podniosłam z podłogi flakon w którym była odtrutka. Tak i zamarłam ścisnąwszy go w pięści. Magia... znowu ta sama magia! Pokrywała flakon, jak ślad czyjejś dłoni, delikatnie pulsując pod moimi palcami. Szybko przyłożyłam do niego wolną dłoń. Innych śladów cudzej magii nie znalazłam, ale zaręczyć, że ich całkiem nie ma, także nie mogłam. Coś niewyraźnego i wymykającego się wisiało w powietrzu, jak aromat liściastych perfum driad. Spokojnie nabierzesz powietrza — poczujesz, zaczniesz oswajać się zapachem — znika.

W zamyśleniu zatkałam flakon i wrzuciłam do torby. Tiwalij, nie doczekawszy się uśpienia, nieśmiało uchylił jedno oko:

— Ale Najwyższy mistrz kazał mi...

— Nic podobnego, — prychnęłam, gwałtownie ściągając gardziel torby. —

Jeśli się nie mylę, odpowiadasz za to, żebym nie wyrządziła szkody w zamku?

Chłopak ze zmieszaniem przemilczał. Bezlitośnie skończyłam myśl:

— Znaczy, możesz z czystym sumieniem, poczekać na mnie przy bramie.

Tylko zdobądź mi normalny miecz, bo sam widzisz... — Wytrząsnęłam atrapę rękojeści miecza z pochwy.

Tiwalij zawahał się:

— Wątpię, czy którykolwiek z rycerzy zgodzi się powierzyć wam swoją klingę, a w zbrojowni są tylko miecze ćwiczebne i bojowe dwuręczne. Ale...

— Ale?

— Mam miecz, który dostał mi się w spadku. To prawda, że do pasowania na rycerza nie mam prawa go dotykać, ale, jeśli weźmie mnie Pani ze sobą, mogę go Pani pożyczyć!

— Pokaż, — nakazałam z zainteresowaniem.

Tiwalij rzucił się tam i z powrotem, i przywłókł długi pakunek, owinięty kawałkiem żółkniętego, grubego płótna. Troskliwie rozwinął miecz z powijków i podał mi go na wyciągniętych rękach, jak weselny bochen na ręczniku.

— Mam nadzieję, bez paznokci jako amulet? — mruknęłam oglądając głownię.

Ostrożnie podniosłam, drugą ręką przytrzymując za środek ostrza. Dziwne, w sposób oczywisty zrobiony na zamówienie mężczyzny — prosty krzyżak, opleciony wąskimi skórzanymi rzemykami, ostrze nie grawerowane, tylko ze srebrnym znakiem przy samym jelcu. Ale przeznaczony raczej dla damskiej ręki — lekki, cienki, doskonale wyważony.

Chłopak pokręcił głową:

— To trzymająca go ręka powinna mu być amuletem.

— Tym razem tobie się nie poszczęściło, — złowrogo zakomunikowałam mieczowi, robiąc próbny zamach.

Srebrzysty zakrętas bezdźwięcznie mignął w powietrzu. Ostrze podobało mi się coraz bardziej i bardziej. Pewnie, zobaczywszy go na targowisku — kupiłabym bez namysłu. Tak i do pochwy u mnie za plecami, wśliznął się jak do siebie do domu. Obróciłam się do Tiwalija i łaskawie oznajmiłam:

— Niech będzie, namówiłeś. Ale żebyś nie ośmielił się nawet kichnąć bez mojego rozkazu!

Chłopak rozpromienił się, spokojnie puściwszy ostatnie słowa pomimo uszu.

— Pani wiedźmo, a jaki ma Pani plan?

— Podkradniemy się do jeziora, zaczaiemy się w krzakach i będziemy czekać. — Sprawdziłam sznurowanie na butach i pochwyciwszy z łóżka kurtkę, dla ochrony przed chłodem narzuciłam ją na ramiona. — Biegnij siodłać swoją szkapę. Na ciebie, w odróżnieniu od umarlaka, nie zamierzam czekać.

„A w razie czego zdrzemniesz się i w zasadzce, w krzaczkach.”

\* \* \*

Znaleźć odpowiednie do ukrywania się krzaki okazało się nie takie proste.

Wierzbowy lasek sięgał do skraju wąwozu — ale wygląd mizernych, dopiero co obsypanych zielenią witek, nie zachęcał do ukrywania się za nimi, ponieważ oznaczałoby to jawne lekceważenie wroga.

— Eh, żal, do lasu daleko... — rozmarzył się chłopak, chciwie spoglądając na świerkowy podrost wzdłuż skraju. — W nim to już mogło by się ukryć całe wojsko, nawet konne.

— A dlaczego by i nie? — ożywiłam się, wyjmując miecz.

Po upływie pół godziny w łozinie wyrosły trzy puszyste choinki, ciasno przytulające się do siebie nawzajem. Wyglądały bardzo miło, chociaż i nieco osobliwie.

— Pani wiedźmo, a Pani jest pewna, że to zadziała? — głośno wyraził chłopak nasze wspólne wątpliwości.

— Ale, przynajmniej, on zobaczy choinki, a nie nas, — rozsądnie zaoponowałam. — Może, zechce popatrzeć na nie z bliska, podjedzie, wtedy my dobierzemy się mu do skóry!

— A jeśli on domyśli się, że za nimi ktoś się ukrywa?



— A czy tobie przyszloby do glowy, ze ktos bedzie sie ukrywal za

wkopanymi posrodku pola choinkami?

— Nie, — uczciwie przyznal sie chlopak. — Ja bym za nic nie uwierzyly, ze bogowie zeslali mi na tyle glupiego przeciwnika!

— To i doskonale, — usmiechnelam sie. — Bedziemy miec nadzieje, ze u wszystkich absolwentow tutejszego zakonu mozgi dzialaja tak samo. Nawet jezeli z tych mozgow zostala tylko czaszka pod rogatym hełmem!

\* \* \*

Przez dwie godziny zdazyly ze mnie zrobic kolacje wszystkie okoliczne komary. Na szczescie, pozna wiosna ich bylo niewiele, ale ilosc wyglodniatych w ciagu zimy stworzen skutecznie przechodzila w jakosc, a zadne krwi bzyczenie, to nad jednym, to nad drugim uchem cyklicznie odwracalo moja uwage od celu nocnego czuwania, zmuszajac do wscieklego bicia sie po nieoslonietych czesciach ciata, po oslonietych takze gryzly, ale troche rzadziej.

— Pani wiedzmo, — nie-smialo przerwal cisze chlopak, — dopoki mamy chwilke wolnego, prosze pozwolcie mi odmowic modlitwe i byc moze, Pani serce zmieknie, a dusza zwróci sie ku swiatlu! Albowiem po Pani oczach widze, ze ciemnosc jeszcze nie zdazyła pochlonac Pani bez reszty, a droga szczerej skruchy zdolna jest doprowadzic do nieba najbardziej zatwardzialego grzesznika...

— Lepiej bedzie jak wypowiem zaklecie i bede czekac na zjawe w samotnosc, jak i planowalam, — z rozdrazzeniem przerwalam, rozgniatajac kolejnego komara.

Giermek pokornie westchnal, wzniosl oczy ku niebu i bezdzwiecznie

zaczął ruszać wargami. Widocznie, zdecydował się po obcować z bogami bez mojego udziału, ale może przy okazji szepnie za mną słówko. W oddalonej wsi zmysłowo rozdarły się koty, przyłączając się do wezwania.

W beznadziei podparłam policzek ręką, posepnie wpatrując się w kłębiącą się nad wąwozem mgłę. Dzisiaj było niewiele cieplej i Tiwalij grzał mi lewy bok, ale to nie przydawało sympatii dla spóźniającego się umarlaka. A jeżeli on i dzisiaj nie wylezie? Zagrzebał się tam do lepszych czasów, dalej od grzechu... Może, pójść poszukać po omacku? Chociaż jeżeli rzeczywiście odnajdę, wiele nie zobaczę...

Tak usilnie wypatrywałam umarlaka, że pierwszy zauważył go Tiwalij:

— Pani wiedźmo! — zapiszczał na granicy ultradźwięku. — Spójrzcie tam!

Spojrzałam i poczułam, że zaczynam pomału wariować. We wskazanym kierunku umarlak rzeczywiście był obecny, tylko jechał... w mgłę! I skrył się w owej, przy mojej pełnej pobłażliwości.

— Ani ghyra tobie! — wyrwało mi się.

— Worra ta kyndyk! — odruchowo przytaknął Tiwalij i jęknąwszy, obiema rękami zakrył sobie usta.

Zrobiłam to samo — żeby się nie roześmiać. Nie wszystko stracone, chłopak może jeszcze wyjść na ludzi!

Nie pozostało nam nic innego, jak kontynuować obserwację zza choinek.

To prawda, nudzić się już nie mogliśmy. Było słyszeć, jak umarlak błąka się po wąwozie, dzwoniąc zbroją. To bliżej, to dalej. Nad nim, jak płetwa grzbietowa krążącego pod wodą rekina, posuwał się garbik mgły.

Można było zaryzykować, strzelić pulsarem na oślep, ale nie wiadomo, co może się wydarzyć przy zderzeniu dwóch magii. Nic, zaopatrzyłam się w cierpliwość na całą noc, starczy jeszcze i na półgodzinki. Poczekamy.

Garbik zamarł i powoli opadł, jak chleb w za wcześnie otwartym piecu.

Złowrogi jeździec wyjechał z wąwozu na wprost nas i zatrzymał się na jego skraju, powoli obracając głowę, raz w jedną, raz w drugą stronę.

Tiwalijski tak wcisnął się w ziemię, jakby miał nadzieję w nią wrosnąć, ale odważnie milczał. Oglądanie umarlaka na własne oczy również nie sprawiało mi szczególnej przyjemności. Na tle księżyca umarlak zdawał się czarnym i ogromnym, tylko oczy świeciły się jak dwa rozżarzone węgielki. Koń z głuchym rżeniem gryzł wędzidło, kręcąc masywnym łbem.

Za to celować do niego było bardzo wygodne. Czym się i zajęłam, splatając palce oba rąk w „kuszę” — małe i serdeczne palce razem w pięść, średnie wysunięte na boki w „pałak”, wskazujące i kciuki wyprostowane, jak do celowania i miejsca dla strzały. Po właściwym zaklęciu, z tej konstrukcji można

11 Zwrot ten [przynajmniej tak znalazłam w necie] jest zapożyczony z tzw. języka trol i, jest to przekleństwo i oznacza "żebyś/żebyś zdechł", ponoć ma i drugie znaczenie, posiadające konotacje seksualne, ale nie umiałam tego znaleźć.

wypuścić do dwunastu szybkich pulsarów po kolei, i ghyr się uchylił!

Chłopak drgnął jak oparzony. Szturchnął mnie w ramię:

— Pani wieżmo, co Pani takiego mamrocze?

Pomyliłam się, bezdźwięcznie zaklęłam i żeby nie powiedzieć czegoś za dużo, syknęłam przez zęby:

— Czaruję, czy to nie jest jasne? I nie waż mi się więcej przerywać, inaczej

nie ręczę za rezultat!

— Oj, poczekajcie, odpełnę na stronę, ażeby nie kalać swojego słuchu  
dźwiękiem biesych słów!

— Tak zatkaj uszy! — warknęłam.

Chłopak w jak najlepszej wierze przycisnął dłonie do głowy, zmrużywszy  
oczy dla większej pewności. Zresztą, wystarczyło jej na krótko. Jak tylko  
zebrałam myśl i przyszykowałam się powtórzyć „słowa”, Tiwalij znowu się  
ocknął:

— A co Pani chce z nim zrobić?

— Wysłać do nieba nieco inną drogą, — odezwałam się zjadliwie —

Zastanawiam się, oczywiście, czy jego tam wpuszczą, ale do tamtejszych bram  
podrzucę...

— Ale to sprzecznie z rycerskim honorem! — z zakłopotaniem zapiszczał  
chłopak, zrywając się na równe nogi. — Powinniśmy wyzwać go na pojedynek i  
pokonać w uczciwej walce, po czym przynieść ulgę duszy modlitwą, i zapewnić  
mu godny pochówek...

W ostatniej chwili zdążyłam złapać chłopaka za rękaw i z całych sił  
pociągnęłam w dół, zmusiwszy do ponownego położenia się.

— A napadać na nieuzbrojone kobiety jadąc wierzchem na końskim  
szkielecie — niesprzeczne z honorem? I jeden raz jego już chowali — nie  
pomogło!

Jak raz w tym momencie szkielet zadarł ogon i zrobił kupę. Sądząc po  
dźwięku i zapachu — bardzo jakościową i wielgachną.

Migiem zaprzestaliśmy kłótni, z oszołomieniem skupiając uwagę, na wyżej

opisanym procesie.

— Pani wiedźmo, a Pani jest pewna, że to nasz umarlak?

— Przecież to jasne, że nie przypadkowy przechodzień — szepnęłam w odpowiedzi, próbując dostrzec, skąd w końskim szkielecie mogło zebrać się tyle wartościowego nawozu. Kości kośćmi, ale pod nimi ciemniała jakaś gęsta masa, jak gdyby je... zawiesili po wierzchu. — Nasz albo nie nasz — uśmiercimy dla podtrzymania kondycji i zorientujemy się!

Z tymi słowy zuchwale wyprostowałam się na całą wysokość, mimochodem, koncentrując między dłońmi bojowy pulsar, i drwiąco zainteresowałam się: — Co, nie śpi się? Ukołysać?!

Ale umarlak nie zapragnął mężnie po siłować się ze mną. Gwałtownie zawrócił cofającego się do tyłu konia i bez zbytecznych słów (ale już nie całkiem milcząco, gdyż „ghyr” zbytecznym nigdy nie bywa) pomknął precz, minąwszy choinki tak blisko ode mnie, że poczułam nawet cierpki zapach męskiego potu, nie mówiąc o końskim.

Odwróciwszy się i drapieźnie wyszczerzywszy zęby, gwałtownie rozłączyłam ręce, rozdzielając i jednocześnie rzucając w ślad za umarlakiem świecące się kulki płomienia.

Pulsary sprawnie uderzyły w opancerzony koński zad i znowu się odbiły.

Wygląda na to, że sedno sprawy leżało nie w rykoszecie, a w nałożonym na zbroję zaklęciu. Z „kuszy” z bliskiej odległości niemal na pewno bym go przebiła, a tak i próbować nie było warto. Koń zadarł gnijący ogon i z podwójnym entuzjazmem pocwałował do zamku, zostawiając za sobą ciemną smugę dymu, jak postrzelony smok.

Szybko obróciłam się w stronę zagajnika i z całej siły gwizdnęłam na dwóch palcach. Czarny, szybki cień przesunął się po polu i zamarł obok mnie, niecierpliwie przebierając nogami. Wskoczyłam na siodło, nie tracąc czasu na poszukiwanie drugiego strzemienia i łapanie cugli, obiema rękami uczepiwszy się przedniego łęku, i w biegu wydając komendę:

— Dawaj, Smółka!

Kobyłka po wilczemu zaskowytała i rzuciła się naprzód.

Umarlak zdążył pogalopować wystarczająco daleko, ledwie mającąc w pół drogi do zamku. Dopędziłyśmy go bardzo szybko, ale przez bramę wjechał na dziesięć sążni przed moim nosem i krata od razu zaczęła opadać. Smółka ledwie zdążyła zahamować, żeby nie najechać na sterczące z niej kolce.

— Zaraza! — zsiadłam z konia i wyrażając niezadowolenie kopnęłam gruby stalowy pręt. Zawołać, czy co? Może miłośnicy świeżego powietrza, śpiący z otwartymi oknami i usłyszą. Ot tylko, czy wyjdą? Pomyślą, że przy bramie rozrabia jakiś pijany troll, no a po co są wartownicy?

Tą samą nogą, ale już delikatniej, poruszyłam chrapiących obok kraty strażników. Na daremno. To nie przez wino — dzieci uspioło zaklęciem. Pewnie, poszperawszy z kwadrans w zbiorze przydatnych zaklęć, zdołałabym ich obudzić, ale czy to ma sens? Bęben z łańcuchem i tak znajduje się po tamtej stronie kraty. Nawet jak będę krzyzczeć trzy razy głośniej, umarlak sto raz zdąży ukryć się w zamku, a tam bezkarnie wyjedzie na polowanie, złośliwie chichocząc nad wystrychniętą na dudka wiedźmą.

Ryknęłam tak, że jakaś drobna psinka, przenikliwie szczekająca po tamtej stronie muru, nagle zamilkła, jak gdyby zdechłszy na miejscu. Jeśli tego

ghyrowego zamku nie udało się zdobyć przez tyle setek lat, to jakie ja mam szanse uporać się z nim w ciągu kilku sekund?!

I wtedy Smółka zawróciła, i bez pośpiechu pobiegła truchtem po skraju rowu wzdłuż zamkowego muru. Nieobecny wzrokiem obserwowałam kobyłkę, dopóki ta nie wsparła się o kamienny występ, zagradzający drogę. Ani trochę się nie zmartwiwszy, Smółka obróciła się mordą do muru i... weszła bezpośrednio w mur.

Rzuciłam się w ślad za koniem i zdążyłam dostrzec tylko szybko zamykającą się szczelinę. Nie namyślając się długo, wetknęłam w nią wyszarpięty w biegu miecz. Kamienne skrzydła ze szczękiem zamknęły się na ostrzu, za murem coś zachrząściło i z piskiem się urwało, ale miecz, zdaje się, wytrzymał. Naparłam na rękojeść próbując odepchnąć sekretne drzwi. Pod palcami zrobiło się ciepłej, mur zaczął się powoli rozstępować. Podepchnęłam nogą w szczelinę parę poniewierających się w pobliżu brukowców i gwałtownie wyrwawszy miecz czmychnęłam do środka. Kamienie ukrytych drzwi długo nie utrzymały — skrzydła głośno zeszyły się bezpośrednio za moimi plecami, prysnąwszy po nogach odłamkami z głazów.

Wstrzymawszy oddech, chwilęostałam w miejscu, przyzwyczajając się do ciemności. Od powoli wyłaniających się z mroku ścian wiało chłodem i pleśnią. Skądś z przodu, dochodził daleki stukot kopyt, przesuających się jak gdyby z lewej strony na prawo. Ale Smółka stała obok mnie, błyskając żółtymi oczami, jak kotka. Otaczał nas wąski, ale dość wysoki korytarz, w sam raz na rozmiar konia z jeźdźcem. Ze ścian wystawały puste obręcze na pochodnie.

Stukot ucichł. Skrzypnęły i natychmiast trzasnęły drzwi, wzdłuż ściany

przemknął wystraszony szczur.

Zdecydowawszy się, pokazałam kobylce przyciśnięty do warg palec i skradając się ruszyłam naprzód, wzdłuż korytarza. Wygląda na to, że korytarz ciągnął się pod całym zamkiem i wkrótce zrozumiałam, dlaczego nikt do tej pory nie był w stanie od nowa sporządzić dokładnego planu Kruczych Szponów.

Zamków było faktycznie dwa. W grubych murach pierwszego znajdował się drugi. Takie same korytarze, schody i cele (w większej części — bez drzwi albo ze zgniłymi, otwartymi szeroko na oścież skrzydłami), tylko wilgotne, nieoświetlone i nieotynkowane. Za to ze szkieletami, malowniczo przytwierdzonymi wzdłuż ścian, jak strażnicze psy na łańcuchach.

Ogarnął mnie lęk. Jak gdybym na chwilę wyszła z zamku, a wróciwszy, zastała go nieoczekiwanie wyludnionym i postarzałym o kilkaset lat. Prawda, drzwi były tu trochę mniejsze, a i pokoiki całkiem małe. Prawdopodobnie, to była ostatnia linia obrony Kruczych Szponów — wiedząc gdzie się znajdują sekretne wejścia-wyjścia, rycerze mogli uprawiać partyzantkę w grubych murach zamku jeszcze długie lata po jego zdobyciu, ale z braku potrzeby, porzucili te korytarze i ze szczętem o nich zapomnieli. A może, sekret początkowo był znany tylko budowniczym i Fenduljanowi, który próbował go zachować na czarną godzinę, a i tak zabrał go ze sobą do grobu...

I tu zza jednych z drzwi doszły do mnie przyciszone głosy:

— Przecież zapewniłeś mnie, że wiedźma nie żyje!

— Tak, panie. Słyszałem jak zaczęła jęczeć i upadła na podłogę, a potem z pokoju przez całą godzinę nie dochodził żaden dźwięk. Dłużej podsłuchiwać było niebezpieczne — tam kręcił się ten przeklęty chłopak.



— Kto w takim razie, według ciebie, podpalił mojemu koniowi ogon?!

Umarlak?

— Może Fendulij? — nieśmiało przewidział głos.

Pogardliwe prychnanie dało do zrozumienia, że nie byłam osamotniona w swojej opinii na temat świętego. Pomilczawszy i czymś pobrzęknawszy, „Pan” kontynuował:

— I podkusił mnie leszy pchać się w tę mgłę! Ależ jak bardzo chciało się popatrzeć, jak ghyra wiedźma sterczała tam całą noc, jak wmurowana.

— I co, Panie?

— A nic! Poblądziłem na oślep, trawa za nogi się czepiała, kępy jakieś, na jednej o mało nogi nie złamałem... Ledwie się wydostałem, nic kompletnie nie widać! A ta przeklęta baba jak na zawołanie i szczeniak z nią. Jeśli on by nie odwrócił jej uwagi, ubiłaby, jak amen w pacierzu! W każdym razie, mnie wystarczy. Niech nasz czarownik sam się za nią ugania, ja już mam po dziurki w nosie tej rudej paskudnicy!

— Ty sam czarownik, — leniwie odezwał się trzeci głos. — A ja obdarzony jestem boskim darem, ażeby czynić cuda na chwałę i rozkwit zakonu. Lepiej byś podziękował za amulety, bez nich ghyr byś się wczoraj wydostał z zamku!

— A co ja winny, że z okna się na mnie gapiła? Nie mogłem przecież na jej oczach ukrytych drzwi otwierać, wypadło za zamkowe mury pędzić, do zapasowego wejścia. Tylko w korytarz zdążyłem dać nurka — obok przeleciała, do tej mgły. Nawet trucizna jej, rudej hwybu12, nie wzięła... a może, karczmarz spartaczył? Pieniążki chapnął, a w ostatnim momencie stchórzył?

— Przysięgał na bogów, że wyspał wszystko, do ostatniego ziarenka. Ale

12 W języku troli: baba, kobieta, dziewczyna

widocznie od jego pichcenia, wcześniej ją zemdliło, zanim trucizna zdążyła  
wniknąć...

— Ale wiedźma mogła coś podejrzewać. Karczmarz nie wygada się?

— Chyba, że przed nekromantą, — podle zachichotał „boski” czarownik.

— Niech będzie, kończ i będziemy się rozchodzić. Wkrótce wiedźma obudzi  
szturchańcami śpiących strażników i znowu pobudzi cały zamek.

— A co ze staruszką?

— Zajmę się nią bliżej świtu, kiedy panika przycichnie i wszyscy rozejdą  
się po celach. Jak zwykle — zapukam, powiem, że mam ważną wiadomość,  
podsunę byle jaki zwitek, a kiedy on się obróci do pochodni, żeby przeczytać —  
pchnę kindząłem i ucieknę przez tajemne przejście. Umarlak znowu w zamku,  
wiedźma poświadczy. Dobrze by było, żeby dzisiaj go zobaczył ktokolwiek  
jeszcze, ale nie będziemy ryzykować.

Zaskrzypiały krzesła i zdecydowałam, że dłużej tu tkwić nie warto. Oni  
zaraz się rozejdą — potem łap ich pojedynczo i udowadniaj, że się nie  
pomyliłam! Wątpliwe, żeby mag-samouk posiadał wystarczająco wysoki  
poziom, żeby się ze mną mierzyć. A z trzema przeciwnikami jakoś się uporam,  
choć i spocic się przyjdzie.

Chwyciwszy za pierścień u drzwi, z całych sił pociągnęłam je na siebie.

Tak jak oczekiwałam, drzwi okazały się zamknięte od środka, ale zasuwa  
przeszła przez zmurszałe deski, jak nóż przez masło. Efektownie otworzyłam je  
na całą szerokość i zamarłam w progu, zakrzusiwszy się wstępną mową w

stylu: „Co, nie spodziewali się?!”

W pokoju znajdowało się nie trzech rycerzy, a dobry tuzin! Jeden jak raz zdejmował z siebie zbroję z namalowanymi świecącą się farbą kośćmi, niedawno spotkany malarz pośpiesznie zmywał farbę ze zbroi jak i z konia z całkiem jeszcze dymiącym się ogonem. Smagły długowłosy brunet, przelotnie widziany przeze mnie w jadalni, leniwie przerzucał z ręki do ręki bojowy pulsar w trupio-zielonym kolorze. Był wśród nich i mistrz, który „złapał” mnie w Rozdrożu.

Rycerze oniemieli od takiej bezczelności, a ja ugodzona ich ilością. Przez pewien czas nikt nie podejmował żadnych działań, nawet koń przestał wierzgać i ze zdziwienia strzygł uszami.

Ze zmieszaniem kaszlnąwszy — niby to, wybaczcie, jeśli przeszkodziłam, wstąpię innym razem! — zatrzęsnęłam drzwi i przesunęłam zewnętrzną zasuwę we wpusty. Po krótkiej pauzie, wynikającej z obopólnego zaskoczenia, wybuchła tak burzliwa działalność, że żywo można ją było sobie wyobrazić po dźwiękach! Rycerze jednocześnie zerwali się z miejsc i kipiąc z oburzenia, całą masą szturmowali drzwi, wybiwszy je od pierwszego uderzenia, ale natychmiast je zakorkowawszy sprasowanymi ciałami. Kiedy oni, poszarpawszy się, wypadli na korytarz, zdążyłam już dobiec do krętych schodów. Niosące się w ślad za mną krzyki mało miały wspólnego z powitalnymi. „Gołymi rękami na części rozerwę zarazę!” — te było z nich najbardziej przyzwoite i humanitarne.

Schody ukrytego zamku zakręcały się dookoła zwykłych (a myślałam: po co gnomy zamknęły je w takiej masywnej obudowie?!). Okrążenia okazały się dwa razy szersze, odpowiednio przybyło i schodków. Gnomie zaklęcia działały i

tu, jak i moje portale, tak, że udało mi się niewiele oderwać od pogoni.

Ghyr go wie: czy też nie zauważyłam drzwi na drugi piętro, czy też schody nieprzerwanie ciągnęły się do trzeciego, ale znalazłam się naraz na nim.

Pokręciłam głową, wypatrując, czy nie można by czymś podeprzeć drzwi, ale zatrzymać się i bardziej dokładnie szukać nie stanęłam, kontynuując bieg już do prostej.

Okazało się, że z krętych schodów skorzystała tylko część rycerzy.

Pozostali rzucili się do zwykłych, trochę krótszych, i rozjuszoną kupą wypadli na korytarz, na dziesięć sążni przede mną.

Nie zwlekając zawróciłam i pomknęłam z powrotem, obok drzwi na kręte schody, skąd jak raz, ze stękaniem, na czworakach, wpełzały ofiary gnomiej architektury. Balansując mieczem w wystawionej ręce, z łoskotem przebiegłam się po ich opancerzonych plecach, do reszty rozpląszczywszy nieboraków na podłodze. Nad głową z ohydym, zjadliwym szelestem, przeleciał pulsar, rozpryskawszy się o ścianę. Kamienie bezdźwięcznie się zagotowały, w dół od zagłębienia rozpełzło się kilka momentalnie zastygłych zacieków.

Nie zamierzając powtarzać dwukrotnie tej samej drogi, pośpiesznie skręciłam w najbliższy boczny korytarz, taki sam mroczny i zapleśniały, jak poprzedni. Zresztą, o nieprzeniknionej ciemności nie można było mówić — światło przesączało się do ukrytego zamku przez szpary między kamieniami, od tej strony wyglądające jak proste pęknięcia w rozeschniętej zaprawie.

Naciągniętego przy podłodze sznura nie dostrzeżesz, ale i w ścianę z rozpędu nie wyrznie.

Jak tylko, przystosowałam się do panujących warunków, pomknęłam w te

pędy, gdy wtem, w poprzek korytarza przemknął się ogromny biały ptak, wyleciawszy bezpośrednio z ceglanego muru i w nim też zniknąwszy.

Gwałtownie zahamowałam. W tej samej sekundzie przed moim nosem harmonijnie gwizdnęło i uderzyło w przeciwległą ścianę około tuzina długich samo strzelnych bełtów. Kilka sztuk usadowiło się w szparach między kamieniami, pozostałe odskoczyły, z brzękiem zasypując podłogę.

Otrząsnąwszy się z chwilowego odrętwienia, rzuciłam się dalej. Ta pułapka już rozbrojona i chyba za nią nie czeka na mnie druga, prawdopodobnie mogłabym się na taką nadziać w sąsiednim korytarzu. Gdyby nie ptaszek... stop, skąd się tu wziął ptak? Jeszcze jeden umarłak z nawykami przelatywania przez ściany? Albo po prostu magiczna pułapka, albo kusza, która przedwcześnie uległa zużyciu. Jak to trolle mówią, „i nawet w czasie odpoczynku bez suszonego muchomora<sup>13</sup> się nie obejdzie”, tym bardziej w biegu...

Chwilowo wyrzuciwszy ptaka z głowy, kontynuowałam swoją triumfalną ucieczkę. Jaki leszy podkusił mnie pchać się w to gniazdo os?! „Staruszek” — to z pewnością Najwyższy mistrz, czymś nie dogodził spiskowcom. Och, mój durny łeb, byłoby znacznie prościej złapać ich na gorącym uczynku, urządziwszy zasadzkę w pokoju z rusalką! A teraz udawaj zająca, którego poproszono by popracował jako naganiacz w obławie na wilki...

Wkrótce okazało się, że nie ja jedna całkowicie nie orientowałam się w tutejszych korytarzach. Prześladowcy automatycznie podzielili się na uganiające się po piętrze grupy pięcio-sześćoosobowe, okresowo zderzające się ze mną lub z sobą nawzajem. W obu przypadkach spotkanie wywoływało szczere zdumienie, a dalej to jak popadło. Póki co udawało mi się wykręcić

moralnym uszczerbkiem i parą prostych ciosów, zwalających rycerzy z nóg i dających mi krótkie odroczenie.

Ale wszystko co dobre, w końcu się kończy. Ze mną w tej liczbie. Gdy wyskoczyła na mnie trójka liderów: czarownik — mistrz — umarlak, moje rezerwy optymizmu, jak i magii, nieco się zmniejszyły. Rzucać zaklęcia na wyścigi z konkurentem przeszkadzali mi jego towarzysze, z radosnym wyciem, rzucające się na upragniony cel, tj. pożądaną łajdaczkę. Jeszcze jeden cios, niezbyt pomyślny, ale posyłający absolutnie żywego umarlaka pod nogi mistrzowi. Czarownik nagle wysunął do przodu prawą rękę, otwierając pięść. Przyjęłam pulsar na środek miecza, gotowa odrzucić rękojeść, jak tylko ostrze zacznie się topić, ale wytrzymało i zawibrowało, odrzuciło gniewnie iskrzącą się kulkę z powrotem. Czarownik rzucił się w kąt, pulsar zrobił bruzdę w kamieniu i odbiwszy się, potoczył się dalej, wzdłuż korytarza, eksplodując już gdzieś w jego końcu.

Drugi koniec był dwa kroki ode mnie, oddzielony jednymi-jedynusieńkimi drzwiami, za którymi widniały schodzące w ciemność stopnie. Po raz pierwszy w życiu pożałowałam, że ich tak mało — jakieś dwieście sztuk, a na zakąskę — jednolita ściana, o którą boleśnie stłukłam kolano.

Gorączkowo pomacałam wilgotne kamienie, wymacałam jakąś dźwignię, 13 suszony muchomor - coś co rozwiązuje trolom języki pociągnęłam, i część ściany bezdźwięcznie odsunęła się na bok. Chłodny wiatr z taką radością rzucił się przez otwór, że ledwo nie zdmuchnął mnie po schodkach na dół. Uparcie pochyliwszy głowę, przekroczyłam próg i znalazłam się w centralnej wieży Kruczych Szponów. Ścian jako takich tu nie było —

ośmiokątny taras widokowy przypominał ogromną altanę: masywny dach, osiem kolumn i łącząca je barierka, na wysokości nie większej niż półtora arszyna. I filar ze schodami w centrum. Obok ukrytych drzwi, znajdowały się zwykle, prowadzące do części mieszkalnej zamku i niestety, zamknięte z tamtej strony.

Cofnęłam się do barierki, spojrzałam w dół i spazmatycznie przełknęłam. Trzydzieści sążni, nie mniej. Na takiej wysokości nie pomoże nawet lewitacja, w najlepszym razie — na dole znajdzie się malowniczo rozplaszczony trup, a nie mokra plama na bruku.

Do wiatru dołączyły się rzadkie krople, padające pod skosem. Od południa na zamek nachodziła pierwsza w tym roku burza, która zaścieliła całe niebo kłębiącymi się obłokami i zachłannie rozdziawiła szkarłatną paszczę horyzontu z kłami-błyskawicami.

— Skacz, wiedźmo, — serdecznie poradził czarownik za moimi plecami.

— Zapewniam cię, istnieją o wiele bardziej nieprzyjemne sposoby rozstania się z życiem!

Nie spiesząc się, włożyłam miecz do pochwy i lekko wskoczyłam na barierkę. Pobalansowałam, ustałam i nie śpiesząc się zrobiłam „jaskółkę”, obróciłam się twarzą do prześladowców, jak raz tłoczących się w wieży, w pełnym, chociaż i w nieco uszkodzonym składzie.

— Ale pożegnać się z nim chociaż można?

— Po co? — zmieszał się czarownik.

— Przed swą męczeńską śmiercią pragnę pomodlić się do świętego

Fendjulija, — wyjaśniłam, pokornie składając dłonie i wznosząc oczy do nieba.

— Mam nadzieję, że nie odważycie się odmówić mi tej prośby?

— Odważymy się! — jednym głosem ryknęli mistrz i czarownik, ale ich zagłuszyło przychylnie mamrotanie pozostałych rycerzy.

— Módl się, wiedźmo! — polecił jeden z nich, opuszczając miecz. —

Albowiem naszym świętym obowiązkiem jest — nie uśmiercić ciała wroga a zbawić jego duszę!

— O święty Fendjulianie! — zaintonowałam przejętym recitativo 14

14 recitativo – recytatyw (mówić, śpiewać recytatywem) <http://pl.wikipedia.org/wiki/Recytatyw>

<http://portalwiedzy.onet.pl/93679,,,,,recitativo,haslo.html> [http://www.gutenberg.czyz.org/word\\_65193](http://www.gutenberg.czyz.org/word_65193)

(recytatywem), naśladowując mistrza Tieriena. tak świetnie dającego występy

przed pielgrzymami. — Usłysz swą niegodną córę, wspominającą ciebie tylko w

godzinie trudów i prób! Przebacz mi! Byłam złą wiedźmą! To jest dobrą i

dlatego przyniosłam wiele nieszczęść i cierpienia nic nie winnym ludziom,

kuszając ich bogom wstrętnymi czarami i czyniąc za ich pomocą najrozmaitsze

święstwa! Spędziłam życie na nikczemnych przestępstwach i grzesznych

uciechach, ale teraz, w obliczu nieuchronnego końca, oglądam się za siebie, a

wstyd i ból rozdziera moje serce! O, jeśli bym tylko mogła naprawić

wyrządzone przez mnie zło! Modliłabym się przez całą dobę na okrągło,

chodziła w łachmanach z pokrzyw, żywiła się jedną lebiodą i biczowała

wszystkie dostępne miejsca z rana i wieczora, a w święta — i po obiedzie!

Rycerze słuchali z wielką uwagą. Jeden z nich nawet przyklęknął na

kolano, żegnając się w takt mojego przepojonego uczuciem zawodzenia. Jeden

zwłaszcza wrażliwy chłopiec, zacisnął miecz między kolanami, wyjął z rękawa

kolczugi ogromną kraciastą chusteczkę i zaczął głośno w nią łkać i smarkać.



— Idioci, przecież ona z was szydzi! — nie wytrzymawszy, wrzasnął mistrz, wychodząc naprzód i zasłaniając moją natchnioną sylwetkę. Nie zmieszawszy się, patetycznie wzniosłam ręce do nieba. — Żadnego Fendjulija nie ma i nie było i ona o tym doskonale wie!

— Jak to nie?! — krzyknęłam, ogarnięta sprawiedliwym gniewem. —

Bracia moi, czy słyszycie, co mówi ten człowiek?! On ośmielił się zwątpić w naszego świętego! W naszą duchową nadzieję i oparcie!

Rycerze z niezadowoleniem zaburczeli, obracając się do mistrza.

— Kogo słuchacie?! — Ten gwałtownie ochrypl, uświadomiwszy sobie, że dzieci nie żartują. — Nie, źle mnie zrozumieliście! Miałem na myśli, że Fendjulija nigdy nie było dla tej wiedźmy, gdyż ona nie godna nawet kłaść jego świetlanego imienia swoimi kłamliwymi ustami! Zabijcie ją!

Rycerze ponownie obrócili się w moją stronę.

— O święty Fendjulianie, Ty widzisz tę samowolę? Mnie, słabej kobiecie, nie pozwalają na szczerą skruchę mej duszy.

Chłopcy do reszty się spieszyli i plunawszy na obie strony, wycofali się pod drzwi i zbili się w szepczącą między sobą kupkę, pozostawiwszy nam zrobienie porządku ze sobą nawzajem i z nieszczęsnym świętym.

— Kończ grać komedię, wiedźmo, — syknął mistrz przez zęby.

Z drugiej strony zbliżał się czarownik, znacząco rozprostowując palce. No tak, nie doceniłam jego „boskości”. Mag Żywiołów, takiego samego rodzaju jak ja, specjalizujący się tylko w powietrzu. Na zawodowca co prawda nie wygląda, szybko bym się z nim rozprawiła jeden na jednego, ale czy te pochmurne dzieci będą obserwować nasz pojedynek z filozoficznym spokojem. A mistrz w ogóle

zdążył podkraść się na długość miecza...

Jeszcze raz spojrzałam za barierkę. Poniżej nic nie było.

— Mistrzu, naprawdę przywlekliście mnie do tego zamku, tylko żeby popatrzeć, jak latam?

— Wykonywałem rozkaz głowy zakonu. — Rycerz skrzywił się, ale natychmiast jego twarz znowu zajaśniała: — Natomiast to — moja osobista inicjatywa!

— No dobrze, nie podobam się Panu, a pozostałe to za co?

— A za to samo. One wtykały nos w nie swoją sprawę i nie słuchały dobrych rad... dopóki nie było za późno.

— A Panu, jak widzę, podoba się dawać rady? A nie przyjemniej robić to w białej sutannie ze złotym krukiem, zawczasu zatroszczywszy się o usunięcie innych, pragnących ją przymierzyć?

— A widzisz, wiedźmo... — Mistrz bez pośpiechu, ze smakiem wyjął zza pleców swój dwuręczny miecz. Szeroko rozstawił nogi, wygodniej ujął rękojeść.

— Ty nie tylko za natrętna, ale i za domyślna. A takie, niestety, długo nie żyją...

— Przypuszczam, że w istocie zobaczyliśmy już dość. — Spokojny, miękki głos rozległ się niczym uderzenie pioruna. — Schodź z parapetu, wiedźmuszko, przeziębisz się!

Spiskowcy szybko obejrżeli się, cofając się i rozstępując się przed gęstą zaporą z wyszczerzonych mieczy. Jak najszybciej skorzystałam z uprzejmej propozycji Najwyższego mistrza i zeskoczywszy na podłogę, oparłam się o kolumnę, wszystko to robiąc na jednym wydechu. Tiwalij, bez ceregieli, roztrąciwszy zapełniających plac rycerzy, rzucił się do mnie.

— Pani wiedzmo, wszystko w porządku? Mój Bławatek nie nadażył za Pani kobyłką, straciłem Panią z oczu i pobiegłem prosto do Najwyższego mistrza!

— Chłopak zawiadomił, że Pani wysłedziła legowisko umarlaka, — potwierdził tenże, obracając się do mnie i tak dobrodusznie się uśmiechając, jakbyśmy jak dawniej rozmawiali w jego dobrze wyposażonej celi, a nie w przewiewanej wiatrem i całej obficie zalewanej deszczem wieży. — I pomyślałem, że nieduża pomoc dla Pani nie zaszkodzi. Prawda, a i przewidzieć nie mogłem, że umarlaków tu tak dużo... Jak mogłeś, Gies? Przecież sam rekomendowałem Cię do zakonu pięć lat temu...

Jeden z rycerzy spuścił wzrok, a potem i miecz.

— A ty, Torak? Czyż naprawdę roczne odroczenie w pasowaniu na rycerza było warte... tego?

Kraciasta chusteczka znowu została poddana okrutnej eksploatacji.

Najwyższy mistrz w milczeniu wodził wzrokiem od jednej twarzy do drugiej — przestraszone, zmieszane, nienawistne... nieczułe, jak u czarownika.

— Jeśli tak naprawdę byliście już niezadowoleni z mojego rządzenia, dlaczego nie przedstawiliście swoich pretensji osobiście mnie, podczas rady, gdzie oprócz mistrzów, każdy z braci może wypowiedzieć się swobodnie? Jeśli oni mieliby słusność, sam ani przez chwilę nie pozostawałbym na tym szaczącym, ale, niestety i nader odpowiedzialnym stanowisku. Wy zaś woleliście uderzyć w plecy — podle, skrycie, niegodnie prawdziwych rycerzy... i oto co wam na to powiem: dopóki żyję, umarlak tym zakonem kierował nie będzie! Brać ich!

Towarzyszący mistrzowi rycerze pośepnie zrobili krok na przód i wtedy czarownik nie wytrzymał, jednym długim zwierzęcym skokiem rzucił się do krawędzi tarasu. Pięciu-sześciu chłopaków zgodnie poderwało zabrane ze sobą kusze, trzy bełty z głuchym, mlaszczącym dźwiękiem trafiły cel, ale zatrzymać ich już nikt nie zdążył.

Rozstawiwszy ręce, mag zachwiał się, przechylił się przez barierkę i powoli runął na dół. Rzuciłam się aby popatrzeć, ale w tej samej chwili nastąpiło takie oberwanie chmury, że przy brzegach tarasu jakby wyrosły białe ściany, a donośnie huczący grzmot mógł zagłuszyć nawet upadek z samej wieży.

Za to dźwięk lecących na podłogę mieczów usłyszałam bardzo wyraźnie.

Tylko mistrz-odstępca, zamachnąwszy się, ze złością rzucił swój dwuręczny miecz przez barierkę i wyniośle skrzyżowawszy ręce na piersi, nie ruszał się z miejsca, dopóki dwóch ponurych rycerzy nie chwyciło go pod łokcie i bez zbytecznych ceremonii nie powlekło do wyjścia...

\* \* \*

— Pani wiedźmo!

Obejrzałam się i przytrzymałam konia. Myszaty konik gnał kłusem za nami co sił, na swoich krótkich, grubych nóżkach.

— Poczekajcie, odprowadzę Panią przynajmniej do rozwidlenia! —

Chłopak zrównał się ze mną. — Do zachodu słońca została mniej więcej godzina, dlaczego Pani nie zgodziła się przenocować w zamku?

— A czy mnie ktokolwiek o to prosił?

— No...

Sceptycznie chrząknęłam, dotykając cugli. Tak, dziękczynna mowa

Najwyższego mistrza była wysokich lotów, rycerze grzecznie oddali cześć na kolanie, ale bogom wstrętną wiedźmą być od tego nie przestałam. Słowa słowami, a myśl myślami. Zresztą, a jest to mi potrzebne?

“... to powinno być ci lepiej wiadome, niż komukolwiek...”

— Do niczego, w ciągu dnia wyspałam się, teraz przejadę się nocnym traktem. A ty czym się zajmowałaś?

Giermek tylko na to czekał, aż wiercił się w siodle od rozpierających go nowości:

— Spiskowcy do wszystkiego się przyznali, Najwyższy mistrz z pomocnikami teraz badają drugi zamek... dokładnie, ich żałosne krzyki już bitą godzinę dochodzą przez ścianę na trzecim piętrze, tak że tam udał się drugi oddział, tym razem zaopatrzony w kłębek sznurka i kawałek kredy do stawiania znaków na rozwidleniach. Wyobrażacie sobie, że ukryte wejście pod murem otwierało się tylko pod wagą konia, który następował na przysypaną piaskiem płytę! A strażnicy codziennie chodzili do przodu i do tyłu i niczego nie zauważali!

— Jego tak i nie znaleźli, — ni w pięć ni w dziewięć powiedziałam, myśląc o swoim. — Trzydzieści sążni, równusieńka, pionowa ściana i brukowane podwórze u podnóża... Gdzież mógł zniknąć?! Nie lewitował i nie teleportował się — sprawdziłam. Wiatr też go w las nie zniósł...

Chłopak z poczuciem winy zamilkł, jak gdyby był główną osobą materialnie odpowiedzialną na zamku i zaginiony trup plątał się u niego po rejestrach.

— A, ledwo nie zapomniałam. Dziękuję. — Wyjęłam miecz i, odwróciwszy go rzucając, rękojeścią do przodu skierowałam do Tiwalija. — Wspaniałą klinga. Chyba, najlepsza ze wszystkich, jakie trzymałam w ręku. Wyjaśnij mi tylko, skąd wiedziałeś, że pobiegnę właśnie na wieżę? A także, jak mnie znalazł święty Fendjulij!

Giermek ledwo dostrzegalnie drgnął. Odczekawszy chwilę, ironicznie chrząknął, podnosząc na mnie wzrok:

— Zgadłem.

Kontur twarzy powiększył się, włosy wydłużyły się do poszerzających się ramion i lekko pojaśniały, nie utraciwszy intensywnego kasztanowego odcienia.

I tylko spojrzenie zostało takie samo — zbyt poważne jak na wyrostka, za szczere i otwarte dla stojącego przede mną mężczyzny.

I w końcu zrozumiałam, kogo mi przypomniął wiszący w świątyni portret.

— Bardzo Pani dziękuję, Pani wieźmo. — Rycerz uroczyście a zarazem naturalnie, jakby robił to setki razy, opadł na jedno kolano i delikatnie dotknął wargami mojej bezwładnie zwisającej ręki.

Poczułam tylko słabe ciepło i znajome ukłucie magii.

— Oj... Pan co, ten... jak Pan tam... e-e-e... święty zmarły, oj, czyli Fendjulij? — wybełkotałam w oszołomieniu.

— Daleko mi do świętego. — Na wargach rycerza pojawił się lekki uśmiech. — Jak, zresztą, i Pani. Ale to nie przeszkadza nam obojgu uczciwie wykonywać swojej pracy, w co byśmy nie wierzyli.

— A ja — owszem. — Narastające oburzenie pomogło mi się wziąć w garść i przejść do ataku: — A to coś, Pan spartaczył! Zamek — Pana, zakon —

Pana, znaczy, i umarlak także był Pana! Po co mnie Pan w tę sprawę wciągnął?

Zakpił sobie z głupiej wiedźmy?!

— Niestety, ja mimo wszystko... — Rycerz przygryzł wargę

powstrzymując gorzkawy uśmiezek. —... Święty, a nie umarlak. Nie mogę wtrącać się w wydarzenia tak radykalnie. Moją władzą mogę tylko z lekka wpłynąć na nie, nadawszy potrzebny kierunek.

— Zaproponowawszy wiedźmie tyle złota, żeby nie była w stanie

zrezygnować z nawijającej się w ręce chałtury? Zwabiwszy ją do jeziora i zmusiwszy do sterczenia tam bitą noc? Ustawicznie płacząc się pod nogami i przeszkadzając czarować? A ta Pana idiotyczna magia, ślady której

znajdowałam tylko tam, gdzie Pan tego chciał? — Zacięłam się,

przypomniawszy sobie, że poczułam ją i na flakonie z odtrutką. Ech, żal, nie

pomyślałam żeby sprawdzić garderobę... — A może, Pan i mojej kobyłce ukryte wejście pokazał? To możliwe — istotnie!

Rycerz położył rękę na grzywie myszatego konika... nie, siwo-

jabłkowego bojowego ogiera, pieszczotliwie wsuwającego chrapy pod ramię właściciela.

— Przyznaję, nieco przesadziłem. Ale z „jeziorem” to Pani przeholowała

— od czasu do czasu powinienem wracać do niego, żeby odbudować siły. Z

Pani pogonią za umarlakiem to zbiegło się całkowicie przypadkowo. A jeśli nie zatrzymałbym waszej ręki i umarlak padł na miejscu, pozostali spiskowcy pozostaliby bezkarni i kontynuowaliby czynienie zła.

— Na tym świecie nawet świętym nie można wierzyć, — zaburczałam. —

Tak i szukają okazji do gaszenia pożaru cudzymi rękami!

— Skandal! — przytaknął rycerz. — Na tym świecie więdźmy nie chcą

15 Maść srebrno-jabłkowa - maść srebrna - jest to maść „, pozłacana " bułana lub jabłkowa . W jabłkowej kon prawie niczym się nie różni . Jest to rozjaśniona maść jabłkowa , kon ma bursztynowe oczy , a w słońcu wydaje się , że błyszczy . W bułanej srebrnej kon ma czarny grzbiet, czarne skarpetki i chrapy . Tułów jest ciemnym

kolorem bułanym . Tak jak w jabłkowej wydaje się , że w słońcu się błyszczy .

przyczynić się do triumfu dobra nawet za sześćdziesiąt kładni.

Odruchowo dotknęłam dostatnio brzęczącej sakiewki. Wszystko to słuszne

i prawdziwe, ale... jak, mnie, smarkatą adeptkę, owinął sobie dookoła palca jakiś

Fendjulij... jeszcze i butersznyt<sup>16</sup> za darmochę zżarł! Zasepiłam się, tak i nie

pogodziwszy się z tym faktem, ale wyczerpawszy wszystkie sprzeciwy.

— Niestety, ptasiego mleka za szkodliwość nie mogę Pani dać, —

kontynuował beczelnie święty, jakby czytając mi w myślach. — Ale, mam

nadzieję, że ten skromny prezent chociaż w niewielkim stopniu odkupi moją

winę?

Nie zdążyłam zapytać, jaki właściwie, gdyż rycerz lekko wskoczył na

konia. Pozdrowił mnie podniesioną ręką, ledwie dostrzegalnym ruchem kolan

posyłając ogiera w parów i ten bezdźwięcznie pobiegł truchtem w dół, po

łagodnie pochylonym zboczu. Mgła szybko pochłonęła jeźdźca i już stamtąd

dobiegł do mnie drżący od śmiechu głos:

— A modli się Pani lepiej, aniżeli czaruje! Może, jednak pomyśli Pani o

karierze kaznodziejki?

Ponuro pokazałam mgłę figę i w tej samej chwili biaława mgiełka zaczęła

niknąć, osiadając i prześwietlając się w oczach. Po upływie paru minut nie

zostało po niej ni śladu, jak i nie zostało śladów po kopytach złudnego ogiera.

Pośrodku parowu wznosił się trawiasty pagórek — prawie niedostrzegalny,



gdyby nie sterczący z niego miecz.

Powoli podeszłam, przebiegłam palcami po rzemykach na rękojeści, jeszcze zachowującej lekkie ciepło. Wtedy zdecydowałam się, zacisnęłam dłoń i miecz, jakby żywy, zaczął sunąć w górę. Pod krzyżakiem ostrze zmatowiało, ale zagłębiona w ziemię część, jaskrawo błyszczała w świetle księżyca, jak gdyby tylko co wypolerowana.

Znak w postaci srebrnej pajęczyny mrugnął i splótł się na nowo. Kruka zastąpił pulsar o sześciu ramionach, dwie runy zamieniły się miejscami.

Uśmiechnęłam się i nie dbając o bezpieczeństwo, przerzuciłam miecz za plecy, za pierwszym razem trafiając do pochwy. „I będzie on amuletem w ręce go trzymającej!”

\* \* \*

16 butersznyt – dawniej kanapka (kromka chleba lub bułki z masłem i plasterkiem mięsa lub sera)